

PISMO DLA RODZIN.

№ 25. Warszawa, dnia 12 (24) Czerwca 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . .	rs. 6 k. „	rocznie . . .	rs. 8
półrocznie. .	„ 3 „ „	półrocznie .	„ 4 k. „
kwartalnie. .	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie .	„ 50	w Prusach „.	24 marek.

Opiekun Domowy
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12 w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

Od Redakcyi.

W nadchodzącym kwartale III r. b. „Opiekun Domowy" wychodzić będzie pod tą samą Redakcyją i na tych samych co dotychczas warunkach.

Tych samych co dotąd trzymając się zasad, pragniemy służyć wytrwale sprawom rodziny, jako ogniska, z którego społeczeństwo czerpie swe zdrowie i potęgę swoję — nie zaniedbując zarazem kwestyj literackich, naukowych i artystycznych.

Wzrastająca liczba prenumeratorów utwierdza nas w przekonaniu, że praca nasza stać się może pożyteczną, i że liczne bardzo ulepszenia, jakie z d. 1 Lipca r. b. przeprowadzić zamierzamy, zyskają jak o tem nie wątpimy, gorące poparcie czytelników, zgodnie z nami pojmujących ważność zadań, którym służyć chcemy rozważnie i wytrwale.

Przedpłata Opiekuna Domowego wynosi

w Warszawie rocznie Rs. 6.
półrocznie „ 3.
kwartalnie „ 1 kop. 50.
miesięcznie „ — „ 50.

na prowincyi łącznie z przesyłką pocztową
rocznie Rs. 8.
półrocznie „ 4.
kwartalnie „ 2.

Dla uniknięcia zwłoki w odbiorze pisma, upraszamy o rychłe wnoszenie prenumeraty.

OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Ciąg dalszy.)

I myśl ta przypadkowa stała się powodem, że szczęśliwy Floryjan smutniał z każdą chwilą coraz więcej, bo na niebie marzeń swoich zaczął teraz widzieć coraz więcej chmur i chmurek! Jakiś zły duch nasuwał mu coraz więcej te chmury złowrogie, a gdy w dodatku obiad na stacyi pocztowej był dosyć lichy i kawa nieszczególnym odznaczała się aromatem — popadł biedny artysta w istną melancholiję.

— Może to wszystko na próżno! myślał pogrążony w zadumie — może właśnie w tej chwili nad sercem Salomei wzięła górę babunia i szczęśliwy aplikant poci się z radości, że będzie miał dworek z ogrodem i kamienicę w rynku?.... Wszystko to być może.... Kobiety są tak zmienne... stałość nie należy do ich przymiotów!... A jam ją tak kochał!...

I przy takiem przypuszczeniu czuł Floryjan wyraźnie, że Salomeę kocha, a może nawet kochał ją rzeczywiście! Wyobraźnia jego malowała ją teraz tak pięknemi barwami! Tak uroczo występowała jej postać, rysująca się na sinem tle narkotycznego dymu, który w obfitych kłębach buchał z krótkiej fajeczki węgierskiego żyda!...

W godzinę po obiedzie zmienił swoję sytuacyję. Wyobraził sobie, że Salomea kocha go, tylko babunia i opiekun opierają się temu. Babunia wczoraj z impetem zamknęła drzwi przed nim — może to samo, chociaż w innej formie, zrobi także i opiekun!...

O wtedy pójdzie on przebojem! Jeżeli inaczej być nie może, to wykradnie Salomeę, namówi ją z sobą do ucieczki, weźmie z nią ślub za granicą — a po kilku miesiącach udobrucha się babunia i opiekun, a szczęśliwi kochankowie wrócą do gniazda, aby dworek z ogrodem i kamienicę w rynku wziąć w doczesne używanie!...

Takie myśli i plany trapiły Floryjana, gdy nad wieczorem, w całym blasku lipcowego słońca ukazała się śród gór i lasów wspaniała rezydencyja JPana Szambora. .

Widok tej rezydencyi sprawił na nim niepokojące wrażenie. Był to istny pałac magnata.

Na pochyłości wysokiej góry, porosłej szpilkowym lasem zarysował się fantastyczny dach, po rogach którego świetlały do góry ostrołukowe wieżyczki. Do tych wieżyczek przypierały różne przybudowania o niższych i wyższych daszkach. Sam dom mieszkalny był

okazały z trzema nieregularnie rzuconemi krużgankami. Okna również nie były regularne. Środkowe miały ostre łuki w guście gotyckim — boczne przypominały styl romański, a oprócz tego tu i owdzie rozrzucone były okrągłe otwory, żelazną kratą zaopatrzone, jakby wychodziły z więzienia. Przed ścianą frontową były szerokie schody kamienne z kolumnadą przypominającą jakąś rzymską ruinę. Kolumny bowiem sterczały bez powały w powietrzu, a zamiast misternych kapitolów rozrastało się na nich jakieś dzikie zielsko i w fantastycznych festonach zwieszało się ku ziemi.

Cała zewnętrzna postać tego pałacu, niegdyś tak świetnego, podobną była do ruiny. Granit i gips nosił ślady zniszczenia, chociaż okalający ogród był starannie pielęgnowany. I sądząc z kosztów, jakie dzisiejszy właściciel dla tego ogrodu ponosił, trzeba było przypuszczać, że zaniedbanie zewnętrznej strony pałacu było w jego planie. Być może, że takim kontrastem chciał sobie stworzyć widok romantyczny — że na tle zielonej, starannie pielęgnowanej natury chciał mieć obraz dzieła ludzkiego, upadającego pod wpływem czasu i burz jesiennych....

Taki widok miał teraz Floryjan przed oczyma, gdy z niespokojnem sercem wyskoczył z karety pocztowej i żyda węgierskiego na zawsze pożegnał.

— Życzę panu wszystkiego dobrego — rzekł do niego kupiec zbożowy z uśmiechem, który był podobnym do uśmiechu Mefistofelesa w Fauście Göthego.

Floryjan uścisnął rękę towarzyszowi podróży, życzył mu wysokich cen pszenicy i owsa, a wziąwszy torbę podróżną do ręki wszedł do ciemnej lipowej alei, która prowadziła do pałacu.

Zdaje się, że gość pałacowy był już z okien pałacu dojrzany, bo równocześnie wyszedł z ganku jakiś sędziwy lokaj w liberyi piaskowej i spotkał się z nim w środku alei.

— Czy jest pan Szambor w domu? zapytał z wielkim niepokojem Floryjan mierząc starego lokaja od stóp do głowy.

— Jest jaśnie panie — była odpowiedź krótka lecz pokorna.

Lokaj po tych słowach wziął torbę z rąk Floryjana.

Stary wydawał się być poczciwym człowiekiem. Miał twarz smutną, zmarszczkami pooraną, postać przygarbioną i nogi od pracy krzywe.

— Czy długo służysz tu mój przyjacielu? zapytał po chwili Floryjan.

— Czterdzieści pięć lat i trzy miesiące — jaśnie panie! odpowiedział z pokorą sługa.

— O to sporo lat! Zapewnie znacie pana Szambora od dziecka!

— Nie jaśnie panie — u pana Szambora służę dopiero dwadzieścia lat i coś!

Floryjan spojrzał z zadziwieniem na starego. Zrozumiał to spojrzenie sługa.

— W tym pałacu mieszkał dawniej hrabia Leliwa — rzekł po chwili — od którego ten cały majątek przeszedł do rąk dzisiejszego pana.

— A gdzież dzisiejszy pan dawniej mieszkał?

— Na Węgrzech!.... Dopiero po śmierci pierwszej żony swojej kupił ten majątek od hrabiego.

— A hrabia!

Stary spojrzał do nieba i machnął ręką.

— Ot zmarniał — jak to się zawsze dzieje, gdy kto ojcowizny swojej nie kocha, tylko za granicą hula!

— Więc pan Szambor ożenił się drugi raz.

— Tak jaśnie panie — będzie temu lat kilkanaście....

— Czy pani zawsze tutaj mieszka?

Stary z zadziwieniem spojrzał na Floryjana.

— O jaką panią jaśnie pan pyta? rzekł po chwili z widocznym przestrachem.

— O żonę pana Szambora!

— O żonę?... O jaką żonę?

— Oczywiście o tę, która żyje!

Stary przeżegnał się nieznacznie i odparł:

— Albo to człowiek wie co żyje a co nie żyje?

Odpowiedź ta i niezwykłe zachowanie się starego sługi zadziwiły Floryjana. Spojrzał z uwagą na niego.

W tej chwili na bocznej drodze, która aleję lipową przerzynała, pojawiła się grupa ludzi. Było między nimi dwóch urlopników wojskowych, którzy w czerwonych czapkach odbijali od góralskich kapeluszy. Grupa składała się z samych młodych parobczaków i wszyscy byli w humorach niezwykłych. Wielu paliło cygara z pewną ostentacyją — niektórzy kontentowali się cienkim sznurkiem dymku, który od czasu do czasu z małych fajeczek oszczędnie w świat puszczali.

W pośrodku tej grupy szła młoda wiejska kobieta niezwykłej urody. Miała na głowie kwiatki polne, na białej szyi szklane paciorki, a w grubych czerwonych ustach trzymała roztrzepione cygaro. Zdaje się, że jeden z wojskowych udarował ją tym nabytkiem wyższej cywilizacyi.

Ładna kobieta śmiała się rozkosznie odpowiadając na różne dowcipne zagadnienia swoich towarzyszy. Ruchy jej żywe, krok lekki i pewne pozy teatralne okazywały że jest w wyższym nastroju nerwów.

Właśnie przecinała ta grupa aleję lipową — gdy stary sługa nagle odwrócił się i przeżegnał.

Spostrzegł to Floryjan.

— Dla czego przeżegnałeś się przyjacielu? zapytał.

— Proszę jaśnie pana — odparł mi bez obawy stary — proszę pana.... bo to *Omanka!*

— Omanka?... Cóż to jest?

— Jaśnie pan żartuje sobie!... Przecież każdy człowiek wie co to jest Omanka!

— Jak cię kocham — pierwszy raz słyszę!

— O z którychże stron jest wielmożny pan?...

— Ja... tak mil kilkanaście stąd!

Stary milczał czas niejaki. Po chwili rzekł:

— Różne nieszczęścia są na świecie. Temu przytrafi się to, drugiemu owo. Otóż zda-

ŚLADY ŻYCIA.

XXV.

Tyle życia, ile... w czynie.

Posucha letnich miesięcy stawia niekiedy w przykre zakłopotanie tych co z urzędu zaglądać muszą pod osłonę życia społecznego. A życie to ukazuje dziwnie bezbarwne i jednostajne oblicze. Napozór wre wesołość i zabawa! lecz wszystko to po większej części sztuczne, bez prawdziwej werwy i zapału. Niesłychany żar, palący mózgi, wpływa ujemnie na nastrój nerwów i uczuć, osłabia ciało, a razem z nim i ducha.

— Ach! — jakże się nudzę. Pragnąłbym co prędzej opuścić nieznośną Warszawę!

Oto powszechny głos zniechęconych śmiertelników.

Szczęśliwi opuszczają też palące mury, i w cichem ustroniu wiejskiem prowadzą żywot, pełen sielankowych rozkoszy — pod sklepieniem błękitnego nieba, wśród uroczej zieleni i kwiatów...

Jeszcze szczęśliwsi, pospieszają w objęcia obcej natury, w wir innego życia, nęcącego uroczemi barwami nowości. Na miejscu zostaje tylko garstka pracowników, przykutych do zajęć powszedniego żywota. Biedakom tym wolno tylko marzyć o świeżem powietrzu, i o innych rozkoszach, które znają tylko z opowiadania i opisu. Warszawa tymczasem jak może, stara się uprzyjemniać chwile wiernej dziatwy swojej, a jak w tej np. chwili wre ona życiem niezwykłem.

Bo oto zjechała do nas gromada szlachty na jarmark wełniany, a dobrze naładowane kieski braci wiejskiej ożywiły ruch finansowo-ekonomiczny. Bliżej tej kwestyi rozbierać nie możemy, gdyż niestety... przyznać należy, nie znamy się na wełnie, ani na baranach i miechach.

Od baranków przejdźmy do bystronogich rumaków, bo jak wam wiadomo zapewne, w zeszłym tygodniu na polu Mokotowskiem, odbyły się wielkie turnieje coroczne, czyli tak nazwane... wyścigi konne.

Pewien szczęśliwy ulubieniec natury zdobywa sobie wielce obiecującą szkapinę; trzyma ją więc przez pewien czas, w największych wygodach, nie dając zaznać żadnej pracy, ćwicząc tylko szlachetne nogi rumaka. Skoro przyjdzie czas właściwy, wsadza na szkapinę najętego famulusa, który pędzi z nią co sił na złamanie karku.... i staje u mety, gdzie czeka go wstyd albo nagroda.

Niezbyt głęboko naukowe było objaśnienie nasze. W każdym razie mógł z niego osądzić czytelnik doniosłość faktu. Weźmy teraz rzecz ze stanowiska historycznego.

Pierwotną ojczyzną tego zwyczaju jest kraj Albijonu. Tam jednakże ma on inne znaczenie: stanowi uroczystość narodową, w czasie której łączą się bratnim węzłem wszystkie sfery społeczne. Arystokracyja bez obrazy honoru daje buzi demokracyi i razem współza-

rzy się czasem, że młoda dziewczyna zerwie kwiatek ze złego miejsca i w niego się ubierze!

— Ze złego miejsca?... Jakież to jest „złe miejsce?“

— Złe miejsce — proszę pana (stary uznał za słuszne opuścić wyraz jaśnie, jeżeli kogoś ma pouczać), złe miejsce może być różne.... w ogóle, gdzie się złe rzeczy stały. Najgorsze jest to, które chłop nasz „omanem“ nazywa. Jest to zagon przez nieuwagę podczas siejby nie zasiany! Na takim omanie rosną niedobre kwiatki, a gdy się dziewczyna w takie kwiatki ubierze, to staje się „omanką!“..

— I cóż ona wtedy robi?

— Ona nic nie robi — lubi się tylko stroić! kwiatki brać na głowę — a wszyscy co na nią patrzą tracą głowę i szaleją!... Ona z nich się śmieje!

— Dla czego szaleją za nią?

— Bo ona należy do złego ducha. Wraz z kwiatkami wszedł w nią zły duch i udarował ją swoją urodą na którą potem łapie biednych ludzi i karki im ukręca!... Ta Omanka, którą wielmożny pan widział, to już kilka śmierci ma na sumieniu. Trzech parobków dla niej się utopiło, jeden skoczył w przepaść, a żołnierz zastrzelił się. Tak się wszystkim podoba!... A ona z nich się śmieje! Nawet stary gospodarz jeden zwaryjował dla niej, otruł własną żonę, aby ją pojąć, i teraz w kryminale siedzi!... Jaka to sprawiedliwość ludzka! Czyż nielepiej było schwytać „Omankę“ i utopić?...

— Cóż ona temu winna, że się podoba?

Stary spojrzał ostro na Floryjana.

— Niech pan tak nie mówi! zawołał poufale — bo kto dostał urodę od Boga, ten musi pierwej sprzedać ją czartu, jeżeli chce nią frymarczyć między ludźmi!... Tak samo stało się z naszą panią.....

— Z waszą panią? powtórzył Floryjan i spojrzał zadziwiony na starego lokaja.

W tej chwili weszli na dziedziniec, a stary lokaj spostrzegłszy pana swego pod kolumnadą, usunął się na bok i w milczeniu kroczył dalej za Floryjanem.

I Floryjan nie miał teraz czasu powtórzyć swoje zapytanie. Przed sobą, zaledwie o kilkanaście kroków ujrzał człowieka, który miał zawyrokować o jego przyszłości.

Wczoraj zdawało mu się, że z tym człowiekiem jest w stosunkach najściślejszych. Był pewny, że ten człowiek wyskoczy na jego widok, uściska go i ucałuje i natychmiast posadzi na pierwszem miejscu.

Dzisiaj zmieniło się coś w jego zapatrywaniu. Człowiek ten, który przed miesiącem zajmował w skromnym hoteliku jeden pokój i był najlepszym jego sąsiadem — jadł i pił z nim przy jednym stole — i we wszystkiem prawie jemu był równy.... wystąpił teraz przed nim na tle swego okazałego majątku, otoczony dostatkami pańskiemi, o jakich nawet w snach gorączkowych nie zamarzyła dusza artysty!

Widocznie zaciężyło to na Floryjanie, a krok jego, niedawno tak pewny i hardy, zaczął się plątać i coraz więcej drobnieć. Przymierzył siebie do mniemanego przyjaciela i zmalał jakoś strasznie.

Ogarnął go niepokój. Przypomniawszy sobie cel, w jakim tutaj przybył, zawahał się na chwilę w marzeniach swoich, dla których pierwej nie widział żadnych szranek!

Cofać się trudno było — nabrał więc odwagi i spiesznie postąpił naprzód w mniemaniu że ciepłe słowo powitania zetrze to dziwne, nieprzyjemne wrażenie.

Z uśmiechem, z dobrą otuchą wskoczył na pierwsze schody, a zarzuciwszy w tył długie włosy, przystąpił z wyciągniętą ręką do gospodarza.

Gospodarz jednak nie ruszył się — tylko spokojnie ręce w tył założył. Był to człowiek średniego wzrostu, rysów ostrych i siwych włosów. Na twarzy miał wyraz cierpki, chociaż w siwych oczach widać było jakieś ciepło serdeczne. Wąsy miał krótko przystrzyżone, tak samo i brodę. Ubrany był w szaraczkowy długi surdut, a na głowie miał kapelusz szary z pilśni.

— Witam pana — powtórzył Floryjan trzymając ciągle wyciągniętą rękę.

Szambor kilka chwil w milczeniu patrzał na niego, potem wydobył z zanadrza szkiełko, włożył w oko i zaczął mu się przypatrywać.

— Nie przypominam sobie — odrzekł po chwili. Zdawało się Floryjanowi, że zimny zdrój wody wylano na niego. Przybladł na twarzy i wstrząsł jeszcze raz długie włosy, aby im nadać kształty artystyczne, które na koncercie w mieście powiatowem tak się powszechnie podobały.

Szambor stał obojętny i podanej rączki nie przyjął.

— Jestem Floryjan*** zawołał w rozpaczy niepoznany artysta.

— Floryjan....? powtórzył pan na Połonicy, i pokręcił głową, jakby sobie nieprzypominał.

Położenie biednego artysty było smutne. Tak zmalał przez ten czas w oczach swego mniemanego przyjaciela, który z nim pił razem wino szampańskie i tak go serdecznie ściskał!... Tak zmalał, że go teraz nawet nie widzi i nie poznaje!...

— Przecie tyle razy graliśmy razem! zawołał żałośnie rozczarowany artysta.

— A!.... powoli cedził pan Szambor — teraz przypominam sobie... a gdzież masz pan wiolonczelę?

— Chciałem tylko sam odwiedzić pana!

— Sam — powtórzył gospodarz jakby niedowierzał mówiącemu — szkoda wielka! Bylibyśmy razem zagrali sobie... a tak nudno panu tu będzie!

— Mogę kazać przysłać sobie wiolonczelę, zauważył w rozpaczy artysta.

— Zrób pan to — zrób jeszcze dzisiaj — a Szymon pchnie pachołka na pocztę.

I twarz staruszka rozjaśniła się. Zaczerpnął stąd lepszej otuchy Floryjan i już z większą nadzieją rękę do gospodarza wyciągnął — gdy tenże nagle zwrócił się do starego lokaja.

— Szymonie — rzekł do niego — dasz panu izdebkę na wieży po drugiej stronie — i zrobisz co potrzeba.

---

wodniczą w szybkości owych bystronogich rumaków.

Z innych zabaw ubiegłego tygodnia zasługuje na uwagę loteryja w parku Pragskim urozmaicona fajerwerkami, ogniami bengalskiemi i t. p. a nad program żywemi obrazami, wykonanemi bez wiedzy zarządu przez pewne indywidua z grona samej publiczności. Dopiero interwencyja czynna stróżów porządku publicznego zapuściła kurtynę na to bezpłatne a urocze widowisko, i czułe indywidua nagle z nieba najwyższych uniesień spadli w objęcia... prozaicznego policyjanta. O losie pełen cierni i rozczarowań, o świecie, nie umiejący uszanować świętych praw miłości.

Bardziej elegancka część publiczności naszej zebrała się w Sobotę aby kosztem nieszczęśliwego ogrodu Saskiego użyć wesołej (?) zabawy i sprobować kapryśnych wybryków losu. Niektórym też okazywał on łaskawe oblicze. Niektórzy z poczciwców przyjmowali z najwyższą wdzięcznością najlżejszy jego uśmiech. Widzieliśmy radujących się z wygranej paczki papierosów za skromną sumkę rs. 3. Sama myśl że tak łaskawa fortuna po długich kołataniach nie odwróciła od nich oblicza, aż nadto wystarczała im do zupełnego zadowolenia. I narzekać tu na materyjalizm wieku!... Uroczą przynętę stanowiła amerykanka, dwa pijanina i dwie sielankowe krówki.

Ze sfery ulotnych faktów zaznaczymy dwie jeszcze nowiny: 1) pojawienie się nadsprejskiej Melpomeny w uroczem zaciszu Alkazaru; 2) przeniesienie sekwańskiej liry muzycznej do teatru letniego w ogrodzie Saskim.

Przeciwko pierwszemu nie mamy nic do nadmienienia. Niech sobie wegietuje leniwa muza synów „Vaterlandu,“ ożywiona niezbędnym nektarem Ambrozyjusza, przypisując sobie nawet pewne cywilizacyjne zadanie. Ostatnie słowa nasze nie są pustym żarcikiem. Broń Boże! W samej rzeczy, opowiadano nam iż jeden z niemieckich kulturträgrów, wyprawiając się do nas po „Geld“ dowodził przed swoimi, że jedzie nas *cywilizować!!!...* O wielki Vaterlandzie—czyż my zasługujemy na tak wielkie względy z twojej strony.

Z powodu świeżego przeglądu dorożek i powozów do najęcia, ośmielamy się zwrócić uwagę kogo należy, że tak jak usuwają się i wycofują z obiegu nieużyteczne, zdezelowane lub nieporządnie utrzymane powozy, dobrzeby było wykreślić z kontroli i niektórych powożących, znanych z nieuległości przepisom policyjnym, dopuszczających się nadużyć.

Efronteryja i samowola warszawskich dorożkarzy przechodzi wszelkie granice. Raz, że podczas świąt wyzyskują nadmierne ceny za jazdę, powtóre że w obejściu się z pasażerami traktują tychże nieprzyzwoicie. Sądzimy że nadejdzie chwila, gdzie już bez potężnej pałki zdobyć dorożki nie będzie można i że do tego ostatecznego środka uciekniemy się wszyscy chcąc zasłonić się od bardzo nieprzyzwoitych traktamentów. Chociaż z drugiej strony hardość dorożkarzy jest winą samej publiczności. W niedzielę, dajmy na to, ktoś zbliża się do dorożki:

— Wolny?

— Wolny? A gdzie pojedziemy?

— Do Wilanowa!

A zwracając się do zdziwionego artysty mówił dalej:

— Pan zapewne potrzebujesz wypoczynku, a ja mam pilną korespondencyją. Nie potrzebujesz się więc ruszać ze swojej izdebki, bo dostaniesz tam jeść i co potrzeba.

Rzekłszy to skinął głową i zniknął w głębi sieni.

XX.

Najróżnorodniejsze myśli trapiły Floryjana gdy się ujrzał w małej, skromnie zaopatrzonej izdebce, prawie na samym szczycie wieżyczki.

Cóż znaczy tak chłodne przyjęcie, jakiego doznał od gospodarza? Czyż miałby wiedzieć o wszystkiem, i takiem przyjęciem chce mu dać poznać swoję niechęć dla sprawy?... Ale to być nie może! Żadnych listów nie było, a telegrafu tutaj nie ma!...

A może ta cała przyjaźń Szambora i jego życzliwość była tylko dekoracyją, z jaką zazwyczaj u wód popisują się ludzie przed sobą? Może to była tylko pewna rola dla świata, pewna koncesyja dla kursujących po świecie opinij i zasad — a w parafii swojej wzięło się napowrót dawną skórę na siebie!

Wszak takie rozczarowania nieraz się wydarzają. Najściślejsza nieraz przyjaźń u wód zabrana, wietrzeje w miarę oddalania się od siebie przyjaciół — przyjaciołek! A te bicia serc przy piciu wody... jak są zdradliwe! Dla wspólnej zabawy wiele się czasem poświęci, ale gdy ze wspólnej areny gladyjatorowie i gladyjatorki do swoich siedzib powrócą — to niechże czemprędzej o wspólnych igrzyskach zapomną!...

Tak czarne myśli nachodziły teraz Floryjana w wieży pustelniczej.

Szambor wyraźnie pytał się o jego wiolonczelę. Czemże on był dla niego bez instrumentu?

Czyż artysta rzeczywiście tylko wtedy ma wartość w pałacach, gdy przynosi z sobą instrument, aby mieszkańców zabawić?... Czyż jego osoba nic tam nie znaczy?

Były to bardzo bolesne zapytania dla przyszłego artysty — były to więcej przeczucia, niemiłe i smutne — obawa przed tem, czego się kiedyś doświadczyć miało. Mimo to nie widział innej rady w tej chwili, jak uczynić zadość żądaniu gospodarza. Napisał małą kartkę i wysłał na pocztę. Nazajutrz wieczorem mógł już mieć wiolonczelę.

I jakże tu teraz marzyć o Salomei — marzyć o szczęściu! Jakże powiedzieć temu szorstkiemu człowiekowi, który ręki na przywitanie nie podał — że się od niego żąda pupilki wraz z dworkiem i kamienicą w mieście powiatowem?...

W takiem położeniu rzeczy bardzo smutno zrobiło się Floryjanowi. Przystąpił do okna i spojrzał na szeroki krajobraz.

Słońce właśnie zachodziło. Lekką, purpurową szatą przyodziały się wierzchołki gór i lasów — a białe skały zarzuciły na siebie siną przezroczystą tkaninę, jakby się ułożyć chciały do snu rozkosznego. Jakiś ptak duży podobny do orła lub sępa przesunął się zwolna na rozpuszczonych skrzydłach koło okna, i wcisnął się pod dach wieżycy na nocleg. A wlot za nim wypadły z dymnika dwa szare gołębie przenosząc życie nad gniazdo rodzinne, z którego wypłoszył je chciwy krwi łupieżca...

Floryjan patrzał długi czas na bujające w zachodzącym słońcu spłoszone gołąbki, które szerokiemi kręgami otaczały gniazdo wydarte a jednak do niego powrócić nie śmiały!... Wreszcie dał im przytułek krzyż pański na rozdrożu stojący. Usiadły tam pomiędzy Męką — na wietrze i chłodzie, podczas gdy ich łupieżca rozpierał się rozkosznie w puchach gniazda rodzinnego.....

d. c. n.

ZARYSY
Gubernij północno- i południowo zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

(ciąg dalszy)

U samego źródła Berezyny leżą *Dokszyce* na pograniczu z guberniją Wileńską, tak że część miasteczka należy już do powiatu Dziśnieńskiego. Bardzo starożytna jest tu cerkiew prawosławna. Dokszyce należały do możnej niegdyś rodziny Kiszków, której ostatni potomek Stanisław, biskup żmudzki założył tu w r. 1608 kościół farny. Pod koniec przeszłego stulecia, zaraz po utworzeniu gubernii Mińskiej, Dokszyce były miastem powiatowem, w roku zaś 1795 stolicę powiatu do Boryszowa przeniesiono.

Kraina Dokszycka — zapadła, bagnista, śród lasów dziewiczych nadzwyczaj jest ciekawą pod względem etnologicznym, a przez nikogo dotąd głębiej nie zbadana *). Niemało tu i do dziś dnia przechowało się zwyczajów sięgających pogańskich czasów, a łatwe przypuszczenie, że tu musiała być nawet świątynia, jak mówi podanie ludowe, gdzie później cerkiew założono.

O milę stąd są dobra rządowe *Hnieździłowo* z cerkwią prawosławną. W dzień św. Piotra odbywa się tu doroczny fest, okoliczni zaś mieszkańcy w tym samym dniu, licznie zwykle zgromadzeni, obchodzą jakąś pamiątkę z bardzo odległych czasów. Oto, przyprowadzają kilka lub kilkanaście *kóz*, zabijają je uroczyście, pieką, smażą i gotują, poczem następuje wspaniała uczta na miejscowem cmentarzu, na mogiłach krewnych i przyja-

*) Jeszcze w r. 1856 zwiedzałem Dokszyce i jej okolice. Zapewne wiele tu zmian zaszło, niewiemy czy na lepsze. Wiele nader cennych szczegółów o zwyczajach mieszkańców tutejszych posiadamy od światłego i nader uczynnego obywatela pana Wołodźki.

— Da pan pięć rubli?

— Co? Dwa ruble i rogatkowe...

— Ma pan zdrowe nogi, po co próżno mordować koniska.

Pasażer przywitany śmiechem obecnych, odchodzi, natomiast inny jegomość postępuje półtora rubla.

Dorożkarz trzaskając wesoło batem za pół czwarta rubla wyciągniętym kłusem wiezie gościa do Wilanowa.

Otóż gdyby, zamiast podwyższenia opłaty, publiczność odstąpiła dorożkarza i zmusiła go do bezczynności przez całe święto, najniezawodniej kara ta podziałałaby dobroczynnie na wszystkich!

Przed kilku dniami dość śmieszny wypadek miał miejsce między właścicielem domu i lokatorem. Jak wiadomo, władza pieczołowita o stan sanitarny miasta i o zdrowie mieszkańców, wydała rozkaz oczyszczania rynsztoków i wysypywania ich karbolowym proszkiem. Pan K. właściciel dość znacznej kamienicy, z tego tytułu utworzył sobie przyzwoity dochód i lokatorom podwyższył komorne. Skoro nadszedł termin zapłaty komornego, do pana K. wszedł niejaki Z. mieszkający na dole i składając należne pieniądze prosił o pokwitowanie.

— Tu brakuje panie trzech rubli.

Lokator przeliczył po raz drugi.

— Wszystko jest co do grosza. Płacę rs. 25, bo przecież nie pora do podwyższania komornego.

— Słusznie, ale kto ma pańskie żądania niechże za nie płaci. Wszak kazałeś pan sypać w rynsztok karbolowy proszek.

— Bo tak być powinno.

— Mój panie, jak na kogo kreska przyjdzie i proszki żadne nie pomogą. Zresztą mniejsza o to, ja darmo tego nie dostanę—dla pana *żyłować się nie będę*.

— Tak? Otóż ja panu zapowiadam że i trzech rubli niezapłacę i rynsztok przed moimi oknami musi być wysypany codziennie.

— Zobaczymy!

— Zobaczymy!

Rzecz poszła przed właściwe forum, gospodarz pod zagrożeniem kary obowiązany został do posypywania rynsztoku.

Chcąc jednak dokuczyć lokatorowi, co dzień wołał głośno do stróża:

— A przed oknami p. Z. posypałeś?

— A jakże proszę pana.

— I na schodach?

— I na schodach?

Kiedy się to ciągle powtarzało, pan Z. zniecierpliwiony raz po zwykłej litanii, zawołał:

— Za mało, proszę więcej, coś zalata!

— A posypże mu i na oknie! krzyknął z pasyją gospodarz, i nazajutrz przysłał panu Z. wymówienie lokalu.

Czem się to dzieje, że pomimo ciągłych ogłoszeń w kuryjerach i gazetach o *„potrzebie panien do szycia"* wiele z tych w prawdziwej znajduje się nędzy? Czy tak mało uzdolnionych? Czy istotnie tak wielki napływ roboty?

Jedni utrzymują że owe ogłoszenia są jedynie reklamą kupiecką. Inni znowu że panie modystki, tym sposobem wyzyskują pracownice i chcą je zmuszać do pozostawania na miej-

ciół. Dla czego koniecznie koza odgrywa tu główną rolę? Koza miała właśnie u Białorusów zastosowanie do bogini Łady **), święto zaś tej ostatniej w chrześcijaństwie przypadało na dzień 26 lipca (św. Parascewii, Piatnicy, a gdy we trzy dni później przypada fest miejscowy, uroczystość więc prastarą przeniesiono na dzień św. Piotra i Pawła. W każdym razie zabytek to prastary, pogański, jakich nie mało na Białej Rusi.

O półtory mili od Dokszyc z prawej strony Berezyny, jadąc gościńcem wojenno-komunikacyjnym do Lepla prowadzącym, jest płaszczyzna więcej jak milę kwadratową zajmująca, cała usiana dużemi i mniejszemi głazami w nadzwyczajnej ilości, tak że włościanie sąsiednich wiosek skarbowych mało mając pola ornego, użytkują z tych głazów, wyrabiając kamienie do młynów i żarna, które nawet z dalszych okolic zamawiane tu bywają.

W pobliżu jest jezioro dość duże *Porzeckiem* zwane, dla tego zapewne, że przez nie przechodzi Berezyna. Nad jeziorem jest grodzisko i mnóstwo kurhanów, które lud *wołotonkami* nazywa. Ciekawy szczegół opowiada lud o tem jeziorze. W lecie nie ma prawie w niem ryb, a szczególnie okuniów; przeciwnie w jesieni i w zimie bardzo ich dużo. Twierdzą więc, że ryby przenoszą się tu na zimę z jeziora *Pelko* o kilkanaście mil stąd odległego i niżej położonego, gdyż dowodzą, że kiedy w *Porzeckiem* mnóstwo okuni, w *Peliko* ich zgoła nie ma i na odwrót. Pielgrzymkę tę ryby odbywają przez Berezynę.

Z wypraw Witoldowych pozostała pamiątka w nazwaniu grobli na błotach Porzeckich *mostami Witoldowemi*. Tak samo po Batorym, który tą drogą na *Milcz, Stańkról i Skuraty* szedł na Połock pozostało kilka pamiątek: *Studni Batorowej* w lesie *Czernicy mniejszej*, oraz karczmy do dziś dnia nazywającej się *Batorówką (Batarynka)*, poniżej jeziora na wzgórzu, na drugiej stronie rzeki, gdzie król miał odpoczywać. Nazwanie wsi Skuraty tak że do tej epoki ma się stosować: na polu legło w bitwie dużo koni, mieszkańcy zdzierali z nich skóry, stąd więc jakoby i nazwanie powstało.

**) Ob. Moje Zarysy mitologiczne w Niwie 1875, str 252.

Dalej po nad rzeką *Ponią* wpadającą do Berezyny, od czego majętność w tem miejscu nazywa się *Berezponie*, widzimy na znaczne przestrzeni dziką, bagnistą płaszczyznę, zamierzchłe lasy, grunt piaszczysty. Zdawałoby się że tak posępna i nieżyzna kraina nie mogła pociągać ludzi do sadowienia się na tych przestrzeniach. A jednak mamy nieprzeparte dowody, że ludzie tu mieszkali w odległej kamiennej jeszcze epoce, gdyż właśnie na tych miejscach znaleziono dużo siekierek i młotków kamiennych. Niemniej o starożytności osad w tej dzikiej krainie świadczą liczne *Horodki* i kurhany-mogiły. Z epoki nowszej już historycznej, podanie przechowało pamięć o dwóch dużych mostach kamiennych, jeden przy uroczysku *Dzielowki* w pobliżu miasteczka *Berezyna-Pacowska* nad Berezyną, a drugi o parę mil przy uroczysku *Mościszcze* (od mostów na przepaścistych błotach). Przy obu tych mostach, szczególnie przy drugim, mnóstwo jest kurhanów. W najdawniejszych miejscowych aktach są wspomnienia o tych mostach jako o *byłych*, nieistniejących. A nawet za czasów Witolda już ich nie było, skoro na tymże trakcie budował dla siebie nowy most który nazwanie jego przechował. Niektóre z tych mogił zbadane przez właściciela Berezyny-Pacowskiej p. Wołodźkę przekonały, że tu istniał zwyczaj ciało-palenia, nadzwyczaj rzadki w tych stronach. Mnóstwo też przechowało się legend o jakichś bohaterach królach, o pięknej księżniczce o którą bili się rycerze. Lecz co dziwniejsze, że i dotąd niektóre miejscowości przechowały nazwy ścisle zastosowane do tych legend. Tak np. jest rodzaj przylądka, z trzech stron oblanego wodą, który nazywa się *łuczka korolewska*; jest *horodek Odsieciszcze*, gdzie właśnie miała mieszkać owa księżniczka i jest w końcu miejscowość zwana *łączką księżniczki*, tam właśnie, gdzie owa piękność miała się ukrywać po ucieczce z horodka.

W tejże okolicy jest wieś *Bereśniowce*, niegdyś do kapituły wileńskiej należąca. Zastanawiającą jest rzeczą, że ludność tej wsi, jak również okolicznych, do tegoż majątku należących, jak *Bojary*, *Budziłowska* (Budziełowko, odmiennych jest rysów twarzy od innych okolicznych mieszkańców: nadto są wszyscy cery ciemnej, włos ciemno-połyskującoczarny. A chociaż mówią jak wszyscy po Białorusku, ale w wymawianiu różnią się bardzo od innych przeciągając z nadto wyrazy. Charakterystyczną cechą ich wymawiania jest jeszcze to, że po literze *r* dodają zawsze *j* i tak nie mówią, jak wszyscy Białorusini *radość*, *brat*, ale *r-jadość*, *br-jat* i t. p. Muszą to być jacyś przybysze, a może pierwotnie nawet nie słowiańskiego szczepu.

d. c. n.

Bez Tytułu.

Większa część czytelników zna zapewne p. Adolfa?

— „Któż to jest p. Adolf.“

— Otóż to pytanie, na które trudno dać ścisłą odpowiedź; pytanie niedelikatne bardzo jeżeli dotyczy jego stanu, sposobu życia i t. p. drażliwych kwestyj, wymagające długich omówień jeśli odnosi się do czysto osobistych jego przymiotów. Postarajmy się jak najkrócej zbyć, przykry obowiązek przedstawienia.

P. Adolf — jest młodym człowiekiem wyższych zdolności, człowiekiem niezwyczajnym, (zwyczajnych ludzi mamy bardzo mało). Należy on do licznego u nas obecnie zastępu tych, którzy *czekają*, *szukają* i *spodziewają się*, ludzi młodych i silnych fizycznie, a podobno silniejszych jeszcze duchowo, ludzi rozmaitego stopnia z wykształceniem *wszechstronnem*, nie-

scu, za jednakie wynagrodzenie, grożąc w przeciwnym razie wydaleniem, bo jest w czem wybierać.

Tymczasem kompetentni w tym względzie tak te rzeczy objaśniają:

Interes każdej *femme d'atour* idzie wcale dobrze, ale ponieważ procent na stroju lub kapeluszu musi być podzielony na wynagrodzenie pracownic a znowu takich nierozsądnych nie wiele, coby zgodziły się pełnić rolę białych murzynek, panie modystki użyły fortelu. Ogłaszają się w pismach i nieodmawiając zgłaszającym się, po kolei biorą je na próbę. Panna robi dzień, dwa, czasem trzy i cztery—zgłasza się inna, przyjmują ją a poprzedniczkę przeprosiwszy wydalają. Tym sposobem nie brak pomocnic do roboty i pani *modystka*, może całkowity procent obrócić... na swoje potrzeby.

Jakaś dziwna epidemija owładnęła wszystkich... picia zimnej wody ze studni Saskiego ogrodu. Więc oto przedstawiciele różnych stanów i stan kupiecki i stan urzędniczy, buchalterzy i literaci, starzy i młodzi, chorzy i zdrowi zalewają się zimną wodą.

Manipulacyja ta zależy na wypiciu kilku i kilkunastu kufli i obiegnięciu w około ogrodu razy co najmniej dziesięć. Jeżeli policzymy objętość kufli wypadnie na każdego z pijących garniec wody—wiedząc że obwód Saskiego ogrodu wynosi blisko wiorstę, każdy spacerowicz zrobi przeszło półtory mili co dzień.

Nic dziwnego że skutki takiej kuracyi działają szybko, bo nawet w garnku glinianym przez półtory mili mącąc wodę ta się zagrzeje i parować zacznie.

Ma to być leczenie się radykalne. Słyszeliśmy jednego z niedokończonych Hufelandów, że woda jest prezerwatywą na zgęszczanie się krwi, że ruch ciągły jest gimnastyką nieznacznie skrzepiającą siły, że ilość wypitych kufli oznacza nagłość lub konieczność leczenia się; że każdy z *wodopojów* ma sen wyborny, apetyt wyśmienity i trawienie arcywzorowe.

Ludziska wierzą, pompa czynna od świtu do nocy. Dość zajrzeć rankiem do ogrodu, prawdziwy wyścig między zwolennikami *pompen-wasseru*.

— Dzień dobry! A po którym już kolega? pyta sążnisty jegomość.

— Po czternastym i po ósmym turze!

— Jak się masz. Cóż, zawsze jednako?

— Zawsze, dopiero po 40-tym kuflu pocę się obficie i czuję że nabieram formy właściwej; patrz kolega jakim okrągły i pełny.

— To oznaka zdrowia!

— Ba! ale w nocy! nad ranem! przy wstawaniu z łóżka, takim wyssany, taki jestem cienki.

— Nie trzeba wstawać. To dowód że się krew rozrzedziła i usunęła w wyższe *krwiste regiony*.

— Tak mówisz?

— Ba! alboż nie pamiętasz Jacka?

— Kiedy umarł!

— Ale nie z wody, z nadmiaru piwa.

Niech cię Bóg broni pić wodę i piwo, albo jedno albo drugie; w przeciwnym razie jak byś raz zapalał w żołądku ognie, to znowu je gasił, *zalewał*.

robiących nic, a wiele *obiecujących*, postępowych pod każdym względem a zacofanych tylko w stosunku swoim do społeczeństwa.

Z przykrością muszę wyznać. że p. Adolf dotąd jeszcze należy do tego ogółu, który wywołuje często dającą się słyszeć opiniję, że nigdzie nie spotyka się tylu próżnujących co u nas w ogóle, a w szczególności w Warszawie.

Przecież pozbyłem się ciężkiej powinności! Nie wrócę już do odkrywania ujemnych stron p. Adolfa, a dodatnich nie trzeba szukać głęboko. Jedna chwila rozmowy z nim wykaże ich dosyć, że już nie mówię bliższa znajomość, która najkorzystniej go przedstawia i jedna licznych przyjaciół.

Jesteśmy z sobą na stopie blizkiej znajomości. Spotkałem go wczoraj wieczorem w ogrodzie botanicznym. Ze mną Adolf bywa zupełnie szczerym i o ile mi się zdaje nie maskuje wewnętrznego swego nastroju. Był w usposobieniu poważnem, tęsknem nieco, z przymieszką lekkiego sarkazmu, zresztą był pogodnym, pod wrażeniem pięknego wiosennego wieczoru.

Przy wejściu do ogrodu znaleźliśmy postrojone tłumy przechodzących się i odpoczywających. Trzeba było niemałej zręczności aby na wązkich uliczkach nie następować co krok na powłóczyste suknie pań, ustrzedz oczy od uszkodzenia parasolką, a całą osobę swą od potknięcia się o pierwszą lepszą modną laseczkę. Zresztą wzrok można było stracić patrząc na przechodzące i ugrupowane na ławeczkach piękności i doznać zawrotu w głowie od zadawania sobie pytań: „co też to można zrobić z natury gdy się ją wesprze całą potęgą sztuki?“

— Chodźmy stąd, rzekł Adolf z niechęcią, nie mamy przecież zamiaru spełniać tu połączonej roli okazu i spektatora zarazem. Ogród tak obszerny, taki piękny, a oni zbijają się tu w tłum, aby się oglądać nawzajem!

— Człowiek widać najprzyjemniejszym jest widokiem dla człowieka, zrobiłem uwagę.

— Być może, ale nie w najckliwszej, konwencyjonalnej formie; w takim razie zbiór rycin mód byłby najpiękniejszą galeryją obrazów. Człowiek wychodzący na przechadzkę choć trochę chciałby się przecie zbliżyć do natury, a oni cisną się tu w gromadę jak owce, aby szeptać i uśmiechać się z siebie nawzajem.

Im bardziej oddalaliśmy się od kwiatowej, a jak obecnie kwitnącej tylko różnobarwnemi strojami części ogrodu, coraz więcej mieliśmy przestrzeni, coraz mniej ludno było, a zarazem coraz piękniejsze i bardziej ożywione spotykaliśmy widoki. Grona rodzinne i grupy znajomych przechadzają się rozmawiając swobodnie, dzieci biegają, bawią się i szczebioczą, starzy dysputują o kwestyjach Europejskich. Dalej, w najbardziej malowniczej części ogrodu pustki już prawie zupełnie, gdzie niegdzie tylko przesuwa się zwolna jaka skromna rodzina lub samotny marzyciel zajmuje posterunek efektowniejszego widoku.

— Jak tu ładnie! p. Józefie prawda jak tu ładnie! zabrzmiał tuż koło nas srebrzysty głosik, i z po za gałęzi ujrzeliśmy młodą panienkę, z rozpierzchniętemi lokami, która przy pomocy kuzynka dostała się na krawędź spadzistej góry. W dole stojące towarzystwo wzywało ją do powrotu, a młodsza część rodzeństwa dążyła w jej ślady. Młodziutki kuzynek nie puszczając ręki swej towarzyszki, patrzał na nią z zachwytem, szeptał nieśmiałe jakieś słowa. Panienka śliczna była żywością całej swej postaci, jakimś zapałem, radosną rzeźwością oczu i zarumienionej świeżej twarzyczki. Przecząco potrząsała główką, a oczy jej tak szczerze, tak przyjaźnie patrzały na uszczęśliwionego kuzynka...

Znikli nam wkrótce spłoszeni naszym widokiem.

— Jeżeli ten mały obrazek nie przemawia do ciebie uśmiechająco — toś już mizantrop skończony, rzekłem do Adolfa który ironicznie usta ułożył.

— Szkoda żeś się dobrze nie przyjrzał, tam na przeciw obserwatoryjum, widziałbyś dalszy ciąg tego samego obrazka, odrzekł sceptyk. Ona tam na wystawie pod opieką mamy wykonywa obroty jej taktyką obmyślane, a on w towarzystwie młodzieży o pół-łokciowych kołnierzach i mankietach nakształt dzwonów, opowiada coś podobnego do niedawno widzianej przez nas sceny, ku ogólnemu rozweseleniu. Uczucia, piękne myśli, zamiary szlachetne mogą ogarniać młode umysły, dopóki nie wejdą w świat praktyczny, a tam już obyczaj przyprowadzi je do należytego poziomu, i przyjęty porządek rzeczy uczyni z nich szare podobizny nijakich dusz otoczenia.

— Oto są skutki zostawania po za obrębem **życia**, myślałem sobie tymczasem. Czy on mówiłby tak, gdyby do działania zwrócił myśli zużywane na bezowocne refleksyje?

Dla rozerwania smutnych myśli zaczęliśmy robić uwagi nad przechodzącymi, to skierowało rozmowę na śmieszności w ogóle a stąd na humorystykę. Cieszyłem się już że wyjdziemy nareszcie z minorowych tonów pogawędki, ale gdzie tam! Z politowaniem rozśmiał się p. Adolf.

— Nikogo tak nie żal mi jak humorystów naszych, rzekł. Z czego u nas śmiać się można naprawdę, w pośród tak bezbarwnego życia? Żałuję panów humorystów i podziwiam...

— A jednakże fakta przeczą brakowi materyjałów do śmiechu. Faktem jest istnienie trzech pism humorystycznych, wychodzących u nas w najlepszej zgodzie, a przecież prawdą naukową jest, że obfitość paszy tylko. sprzyja rozwojowi i pokojowemu zachowaniu się względem siebie osobników pokrewnego gatunku...

— Tak, ale to pasza *sui generis*, walczyć o nią niewarto. Przeżuta przez jednych, przeżuwana być może jeszcze do nieskończoności przez drugich, zawsze z jednym skutkiem... czczości dla czytelników. Całem zadaniem jest umiejętność przeżuwania, gimnastyka słowa. Istnienie tylu pism *od śmiechu*, mnóstwa humorystycznych i pół-humorystycznych felijetonów, dowodzi tylko rozwiniętej w nas skłonności do kpinkowania. Dla niej poświęca się wszystko, wszystko dla niej może być śmiesznem.

— Właśnie mi idzie oto *lanie*!

Niedosłyszeliśmy reszty, bo pacyjenci pobiegli dalej szybkim krokiem.

Szkoła rolnicza w Żabikowie pod Poznaniem tak dobrze jakby zniesioną została. Nauczycielom bowiem i uczniom nie będącym poddanymi pruskimi, policyja nakazała opuścić szkołę i terytoryjum pruskie w ciągu dni *czterech*. Skutkiem tego z 12 nauczycieli i 60 uczniów pozostaje *trzech* nauczycieli i *dwu* uczniów. Hr. Cieszkowskiemu i Dyrektorowi zakładu p. Au, ledwo że udało się wyjednać u prezydenta prowincyi poznańskiej przedłużenie do dni czternastu tego iście dzikiego rozkazu.

Profesor D-r Girsztowt redaktor Gazety lekarskiej, rozpoczął z d. 5 Czerwca r. b. wydawnictwo peryjodyczne p. t. Wody mineralne—Ciechocinek—Busko—Solec—Druskieniki—Birsztany— Nowe miasto — Sławinek — rzecz poświęcona zakładom i gościom zdrojowym. Gazetka stanowi dodatek do Gazety lekarskiej, pomimo iż przeznaczoną jest dla „gości zdrojowych.„ Sądzimy że tę niewłaściwość wypadałoby usunąć, naznaczając na „Wody mineralne“ oddzielną zupełnie przedpłatę.

Nowa reforma sądowa w Królestwie, zaprowadzenie której dla braku odpowiednich na ten cel funduszów wstrzymanem być miało na czas nieco dłuższy, ma już na pewno zacząć obowiązywać od $^1/_{13}$ Maja 1876 r.

Szwindlerowie wiedeńscy zaczynają brać się na dobre do nas. Od pewnego czasu w pismach codziennych a przynajmniej w obu kuryjerach, zwraca na siebie uwagę ogłoszenie zaczynające się od:

Telegram!

Taniość i elegancyja i. t. d.

W telegramie tym p. E. Samet krawiec z Wiednia ogłasza cennik gotowych ubiorów mężkich z najlepszych materyjałów, tymczasem jest to sobie najwyborniejsza tandeta i porządnie droga.

Letnie bo np. sakpalto męskie oznaczone jest w cenie od rs. 12 do 22, otóż bez „*telegramów*“ tej samej zupełnie łaski dostać można u krawców warszawskich. Nie dajmyż się brać na te *telegramy*, aby potem wyklinać wyzyskujących nas niemców.

A już moglibyśmy darować Ogrodowi Saskiemu jego zieloność, całość trawników zapach kwiatów i czyste aleje. Ledwie skowronek wydzwonił pierwszy śpiew, ledwie z pod śnieżnej skorupy wychyliły się trawki, ledwie pierwsze promienie słoneczne uniosły się po nad szczyty drzew — zwożą deski, bale, drągi, tarcice, belki, gromadzą się majstrowie, rozlega ruch toporów, zgrzyt piły, pukanie młotków... *budują się namioty do fantowej loteryi*!!

Kilka dni dziesiątki nawet setki ludzi znosi płótno, glasę różową, niebieską, czerwoną potem dźwiga służba paki, paczki, kufry, kuferki dalej ciągną na wozie tajemnicze koła losów; zapalają lampy, opalają drzewa, zawieszają sznury, łamią gałęzie wjeżdża dwie lub trzy beczek wody, leją wodę w głównej alei potem zagrała muzyka, wzniósł się kurz po nad szczyty drzew i wszystko zagasło. Nazajutr. znowu sztuk, huk, puk, pisk ***rozbierają namioty***

szne, tylko ona sama już śmieszną nikomu chyba wydać się nie może.

— Smutna rzecz. A czegóż to jest skutkiem? — zapytałem.

— Skutkiem bezbarwności społeczeństwa. Wszystkiego u nas jest potroszę, a żadnego wybitnego kierunku, żadnych rysów ogólnych...

Spojrzałem na mówiącego z obawą aby z mego wejrzenia nie wyczytał coś mniej przyjemnego dla siebie, lecz on z pobłażliwą goryczą mówił dalej.

— Nie mamy ani karykatur ani ideałów. Te które mamy są ogólnie ludzkie.

Przykre sprawia na mnie wrażenie wyraz „nie mamy" wolałbym już „nie znamy," westchnąłem więc i rzekę:

— O karykatury już mniejsza, ale żeby nam brak było ideałów — w to nie chcę mi się wierzyć.

— Ideały i karykatury zawsze pojawiają się współcześnie, jako przeciwległe bieguny rozwiniętego życia społeczeństwa, a jakież to u nas życie, jakie mogą być jego bieguny? Na dole nędza moralna i brudy — u góry — słowa i dobre chęci... Tu machnął ręką i zamilkł.

Usiedliśmy na ławce nad spadzistością skąd przedstawiał się prześliczny widok, na oświetlone ostatniemi promieniami słońca malownicze grupy drzew spiętrzonych do koła. Milczałem pod wpływem smutnych myśli i przyjemnego wrażenia, a jak zwrotka ulubionej piosenki powtarzały mi się w pamięci znane słowa:

„Czyń każdy w swojem kółku co każe duch Boży!..

— Nie lubię ja wyrazu „ideał" i bardzo niechętnie używam go, odezwał się Adolf, cóż kiedy nie ma innego wyrazu na określenie pojęcia upostaciowanych dążeń, które społeczeństwo tworzy sobie w danej chwili swego rozwoju. Właśnie staram się zdać sobie sprawę z obecnego ideału. Każdy czas ma pewne postacie ku którym zwraca się ze szczególnem upodobaniem, w literaturze, w sztuce i w życiu otacza je pewien urok sympatyczny. Postacie takie jeśli nie są właściwemi ideałami społeczeństwa, mają z nimi bliski związek, są odbiciem swojej epoki....

W początku bieżącego wieku i przez długi czas potem jeszcze postacią taką, był młody wojak, pełen zapału, odwagi, gotów do poświęceń. Tkliwy jak kobieta a mężny jak rycerz, piękny i zachwycający w towarzystwie, pełen prawości i poważnej myśli w życiu. Otoczony nimbem zasługi, odbierał najmilszą nagrodę w sercu tęskniącej kochanki i otoczony szacunkiem pędził na laurach resztę życia, wśród czci, pełen smutnych wspomnień i milczącej wiary w przyszłość. Każda piosenka tych czasów powiewa jego chorągiewką, połyska szablą, każda powieść grupuje się koło młodzieńca marsowej postaci z kresą na czole, w każdej komedyi węzeł przecina żelazny a serdeczny napoleończyk. Były to już ideały *post facta* ale o innych społeczeństwo nie marzyło jeszcze.

Później powstali Gustawowie, Kordyjany, Wacławy ludzie nie z tego świata, z duchem miotającym się szalenie w klatce rzeczywistości, szczytni marzyciele, mistycy serca. Za nimi nastąpił rój młodszej ich braci. Ludzie z piętnem zapoznania od kolebki, ofiary zawodów, złudzeń, rozczarowań, złamani życiem. Skazani na cierpienia wieszczowie, i pełni świętego zapału ludzie czynu padający przy pierwszym kroku w życiu i noszący do końca cichy żal w sercu dla martwego świata materyi, lecz bajronicznej siły; łamiący sobie ciągle kruche skrzydła wśród marzycielskich porywów i zniechęceń.

Niedawnemi czasy jeszcze, nie mówię już w romansie i poezyi księżycowej, ale w życiu jedynie interesującą i sympatyczną postacią był człowiek głębokiego uczucia i myśli których już w życie nie kusił się wcielać, człowiek nie dla świata, a noszący w sobie świat zbyt piękny, ideały zbyt niedościgłe by mógł wierzyć w ich urzeczywistnienie. Głęboka boleść i zrzeczenie się marzeń promiennych na rzecz ciężkiego obowiązku była ostatnim wyrazem tej postaci, a cicha rezygnacyia jedyną godziwą drogą jej przez ten świat na którym bądź co bądź żyć trzeba. Mniej godni ideału, z szyderczym uśmiechem roztrwaniali swe duchowe skarby i kończyli życie nic nie ceniąc, nic nie szanując, obojętni zarówno dla rzeczy szczytnych jak i oburzających, jeśli ich z tej romantycznej apatyi nie wyrwało jakieś zjawisko świetlane na to, aby raz jeszcze lepszy świat ukazać ich oczom i zniknąć.

Od niedawnego czasu zaszły ważne zmiany w sferach ideału. Postacie niedawno tyle sympatyczne nikogo już nie wzruszają, budzą co najwięcej uśmiech politowania. Któż zajął ich miejsce?

— To zdaje się nie ulega wątpliwości, zawołałem. Ze snów przykrych budzimy się do czynu, z marzeń do życia na prawdę, sądzę że łatwo scharakteryzować bohatera w opinii lepszej części naszej społeczności...

— Nie tak łatwo jak się zdaje. Najprzód to osławione budzenie się do czynu, jest raczej prawdą literacką niż życiową...

— Cóż ty wygadujesz — zawołałem jakby ukłuty w samo serce.

— Nie masz się co oburzać, ciągnął dalej Adolf. Przykrego doznałbyś zawodu gdybyś ze swą wiarą w nagłe jakieś odmłodzenie się społeczeństwa przyjrzał się mu bliżej. Twa wiara żarliwa mogłaby łatwo zmienić się w żarliwsze jeszcze anathema. Od tymczasowości i zwątpienia do silnej i gorącej pracy nie przechodzi się jednym susem. Skok taki byłby tylko gorączkowem rzuceniem się. Dla tego też bez uprzedzeń patrząc, nie powinniśmy się martwić powolnym słabym ruchem życia u nas, niech tylko będzie wzmagający się a ciągły. Tymczasem społeczeństwo nie ma ulubieńców odbijających w sobie jego nastrój ducha. Ani żarliwi pionierowie postępu kreśleni w powieściach podług recepty, nic z natury, ani eklektyczne zlepki, z tradycyi i nowszych dążeń nie stają się popularne. Odbicia wewnętrznego nastroju społeczeństwa przygotowują się dopiero i równie niejasne są....

Chwila przerwy najwyżej miesięczna, tylko rankiem wielkie miotły stróżów przesypują piasek na kupki, w południe i wieczorem ogony naszych dam zastępują ranne miotły.

Nagle zjawiają się wozy, tratują trawniki, przejść trudno *zwożą materyjały na budowę namiotów do drugiej loteryi.* Trwa to dni kilka po spaleniu tysiąca lamp, pozostają strzępki podartych biletów, ślady bydląt przeznaczonych do wygrania i dalszą koleją znowu wozy wywożą niepotrzebne już bale, dyle, belki krokwie, łaty, tarcice i deski.

Niezmordowany Matejko zabiera się do nowej i olbrzymiej pracy, bo przewyższającej rozmiarami wszystkie dotychczasowe dzieła znakomitego artysty. Praca ta, to „Bitwa pod Grunwaldem" obraz którego szerokość 16 łokci a wysokość 15 stóp wynosi.

Czytelnikom naszym wiadomo, że p. Bartels krząta się około urządzenia w Warszawie ogrodu zoologiczno-aklimatyzacyjnego, i otrzymał od JW-go Naczelnika kraju pozwolenie odwołania się w tej sprawie o współudział i pomoc do mieszkańców kraju. Pomoc ta w postaci dobrowolnych składek płynęła jednakże tak skąpo, iż losy zamierzonego warszawskiego zwierzyńca, bardzo dotąd zagadkowemi były. Obecnie zmieniła się postać rzeczy i jest nadzieja że poczciwe chęci p. B. nie pójdą na marne, a to dzięki p. Leopoldowi Kronenberg znanemu bankierowi warszawskiemu, który na rzecz zwierzyńca o jakim mowa ofiarował Rs. 1000.

Książe Roman Czartoryski ma wydawać w Poznaniu dziennik polityczny wielkich rozmiarów. Prałat Koźmian jak donosi „Wiarus" obejmuje redakcyją nowego organu.

Bardzo to piękna rzecz towarzystwo opieki nad zwierzętami, byleby go tylko, niekompromitowali niektórzy gorliwcy. Mówiąc to mamy na myśli pewnego dobrze miastu znanego ex-lichwiarza żyda—któremu setki bodaj rodzin zawdzięcza swoję... ruinę. Jegomość ów z najzimniejszą krwią wyzyskiwał biedę a spanoszony cudzą krzywdą wziął się obecnie do nic przedewszystkiem nie kosztującej filantropii.

Niebyśmy przeciwko tej „litościwej duszy" nie mieli oburza nas wszakże okoliczność iż przywłaszcza ona sobie prawo doraźnego wymiaru sprawiedliwości—targając powożących za włosy—drąc ich za uszy lub okładając laską. Podobną „laskową" scenę widzieliśmy niezbyt dawno na ulicy Szpitalnej—a w dodatku napaść najniesłuszniejszą była—bo dotknęła furmana za to niby że siedział na ciężko i tak naładowanym wozie. Ciężar tymczasem składał się z czterech worków zboża, co na parę niezłych koni, wcale przeładowaniem nie jest. Nad tego rodzaju opiekunami zwierząt, warto by aby policyja czujniejsze rozpostarła oko.

— Co pan Dobrodziej sobie życzy? zapytał zacierając kościste rączki smukły księgarz dobrego naszego znajomego pana Z.

— Chciałbym kupić Fausta?

— W tej chwili. Proszę Fausta, woła na subjekta Jowisz blondwłosy.

Rozkaz spełniony. Księgarz ze słodkim uśmiechem, podaje na białej dłoni elegancki egzemplarz.

— Jakież to? Pokażże mi prędzej te pierwsze, próbne egzemplarze!

— Są to ludzie pełni siły, pojmujący potrzeby społeczne i szukający z mozołem dróg do działania, ludzie nieoceniani podług wartości, którym brak pola do okazania czem są w istocie, pełni zacnych dążeń, trzeźwego poglądu na rzeczy i...

— Kandydaci do dobrego ożenienia, dokończyłem nie mogąc wstrzymać się od śmiechu. Adolfku, nie gniewaj się, wybacz mi szczerość, rzekłem całując go w czoło. Mimowoli zapewne własny swój obraz kreślić mi zacząłeś jak zakochany, bezwiednie rysujący pierwszą literę imienia kochanki. Zmiłuj się, szanuję twą miłość własną, przyznaję ci wiele pięknych przymiotów, ale nie krzywdź społeczeństwa czyniąc się jego obrazem. Niech nas Bóg broni, aby duch obecnej chwili miał objawiać się tylko w pięknych słowach, trafnych opinijach i niedołężnem wyczekiwaniu pielęgnowanych w skrytości serca nadziei jakiejś wielkości. Cóż by to za straszny był obraz społeczności świadomej swego położenia, zdolnej do czynów a bezwładnej, bez zapału, bez wytkniętego kierunku dążeń!

Nie łudźmy się żeby dobrze być mogło, póki na innych narzekając, sami czuć się będziemy zwolnionymi z pod ogólnego prawa, póki będziemy marnować czas i siły w lekceważeniu dostępnych dla nas dróg pożytecznej pracy. Musimy najprzód u siebie spełnić to czego żądamy od społeczeństwa, tem bardziej gdy... czujemy się jego obrazem.

Adolf patrzał na mnie przez ten czas z ironicznym lubo nieszczerym uśmiechem.

— Entuzyjasta, entuzyjasta!—powtarzał, w krótce potem pożegnał mię i jestem pewny.... że się na mnie pogniewał. *T. Z.*

Z KRONIKI NAUKOWEJ.

Temperatura słońca.—Prace misyonarza Petitot'a—Alfabet muzyczny.—Nowe spostrzeżenia pp. Fremy i Deherain'a, nad uprawą buraków.—Wypadki poszukiwań odbytych w balonie Zenit.—Zjawiska meteorologiczne.—Badania p. Chudzyńskiego nad układem mięśniowym murzynów.—Doświadczenie P. Costera z chrzanem.

Wielu uczonych oddawna siliło się nad oznaczeniem temperatury słonecznej gwiazdy. W ostatnich czasach Thomson, Fay, Lockker i inni, podawali w tej mierze wypadki swych spostrzeżeń które przecież przedstawiały niezmiernie uderzające różnice. Obecnie na kongresie przyrodników w Sorbonnie, p. Vielle odczytał rozprawę wyjaśniającą metodę jakiej użył na rozwiązanie tego ciekawego zadania. Opiera się ona na zastosowaniu przyrządu przez niego w tym celu wynalezionego. P. Vielle odbywał z pomocą niego liczne doświadczenia w rozmaitych miejscowościach, a między innemi na wyniosłych cyplach Alpejskich. Według jego poszukiwań, temperatura słońca dochodzi 2000 stopni cels. ciepło to naturalnie oznacza tylko właściwe powierzchni tej olbrzymiej kuli gazów płonących. Oznaczenie to jest w każdym razie tylko hypotetyczne, nauka nie może jeszcze w tej kwestyi stanowczo orzekać nie mając dostatecznej ilości danych dotyczących ustroju słońca.

Niestrudzony pracownik na polu naukowem, misyjonarz Petitot, wyruszył już w okolice biegunowe. Nie wielu z nas wie zapewne, że wielebny ojciec spędził trzynaście lat życia u Eskimosów i Indyjan sąsiednich oceanowi Lodowatemu. Zwiedził on w licznych wycieczkach i poznał dokładnie długą dolinę Mackenzie, od lasu Good-Hope do Wielkiego jeziora Niewolników, oraz rozległe jezioro Niedźwiedzie i przyległe mu stepy. Petitot zdjął plany wielu miejscowości, ułożył słownik języka Eskimosów i kilku pokoleń indyjskich i zebrał mnóstwo obserwacyj dotyczących geologii i meteorologii tych okolic. Z nowej podróży uczonego misyjonarza, nauka pozyska niewątpliwie cenne plony.

Mówiąc o posiedzeniach przedstawicieli wiedzy w Sorbonnie, nie możemy pominąć metody muzyki alfabetycznej wynalezionej przez Rocharda, choćby z tego względu, że dźwięk wszelaki a tem samem i muzyczny wchodzi do repertoaru zjawisk fizycznych. Język muzykalny Rocharda, jest możnaby powiedzieć tem dla muzyki, czem nomenklatura dla chemii a głoski tego abecadła przedstawiają nam to, co w rachunku cyfry arabskie. Nowo wynaleziony alfabet usuwa prawie całkiem trudności w odczytywaniu nut, ułatwia intonacyje i pozwala pisać i czytać utwory muzyczne daleko łatwiej i prędzej, niż z nut będących w dotychczasowem użyciu.

Tyle nowości z Sorbonny.

W Paryskiej Akademii nauk występowało dwóch chemików pp. Fremy i Dehérain, w kwestyi uprawy buraków. Z długoletnich ich doświadczeń wypływa, że buraki mogą dochodzić zupełnego rozwoju w ziemi całkiem pozbawionej próchnicy czyli humusu, w tym jednak razie, muszą być najregularniej nawodniane, i zasilane nawozem obejmującym azot, kwas fosforyczny, wapno i potaż. Azot pod najrozmaitszemi postaciami jako to: azotanu sody lub potażu, siarczanu, amonijaku lub materyi organicznej, wywiera zawsze wpływ jednakowy. Według nich buraki w ten sposób uprawiane, przy zastosowaniu odpowiednich nawozów chemicznych, mogą zawierać w sobie 18% cukru przyczem gatunek gleby nie ma żadnego wpływu na rozwój tej rośliny. Z drugiej znów strony pp. Fremy i Dehorain okazali, że buraki bogate w cukier, są natomiast ubogie w materyje białkowe i odwrotnie, im w nich więcej białka tem mniej bywa cukru. Nadto ze spostrzeżeń ich wynika, że w uprawie buraków należy przedewszystkiem starać się *o dobre nasienie*, to wszakże posia-

---

— Cena, pyta Z.

— Rubel kopiejek sześćdziesiąt pięć!

— To trochę zadrogo panie.

— Ostatnia cena rzekł księgarz, i skrzyżowawszy po Napoleońsku ręce. .oniemiał.

Pan Z. podał dwa ruble!

Usłużni podwładni opakowali dziełko w katalog nowości muzycznych, księgarz pracą rąk własnych zaopatrzył pakunek w sznurek czerwony.

— Dziękuję, rzekł Z. zabierając podaną książkę.

— A! Panie, wyszeptał zgięty w kabłąk niepożyty kolos literatury.

Gdzie cienko tam się rwie, powiada przysłowie. Pan Z. kupił Fausta jako uproszony oto przez osobę 3-cią i udał się z odstawą nabytku:

— Jestem z Faustem, rzekł.

— A mój Boże! zawołał na to chór niewieści a tubalny głos ojca niby echo przewlókł ów wykrzyknik.

— Szkoda do dyjabła, już mamy! Dostaliśmy od znajomych.

— Ha, to pójdę zaraz i zwrócę!

— Jeżeli łaska, żebyś się pan tylko nie spóźnił.

Od chwili wyjścia ze sklepu, do chwili powrotu upłynęło zaledwie dziesięć minut. Z. zastał jeszcze zadumanego księgarza.

— Panie, rzekł skromnie przepraszam najmocniej, ale mi Faust już niepotrzebny, czy pan nie raczysz przyjąć go napowrót?

Milczenie.

— Jabym już co ustąpił.

— Niepodobna, wykreślono w kontrolach, wpisano do księgi obstalunków...

— Wszak panie to klasyczne dzieło, jabym panu ustąpił dwa złote.

— Racz pan mię uwolnić.

— Pół rubla!

— Żebyś pan nawet dał pół na pół nie przyjmę, po co mi ta bibuła.

— Więc jakże będzie. Daję panu słowo, że tracę własny pieniądz, to dla mnie spory wydatek; zechcij pan uwzględnić położenie.

— Ha, na ten jeden i ostatni raz.

Tu księgarz porwał książkę, obejrzał starannie a potemrzucił od siebie.

— Proszę, rzekł wyliczywszy na stole dziesiątki których było razem za *złotych polskich.... Cztery!*

Gazety wiedeńskie odzywają się z wielkiemi pochwałami o ziomku naszym, podolaninie panu *Kazimierzu Jachimowiczu*, wynalazcy maszyny do składania i wiązania w snopy zżętego zboża. „Neue Freie Presse“ poświęcając przedmiotowi temu oddzielny artykuł (Getreide Bindemaschine) między innemi powiada: koszenie zboża za pomocą żniwiarek uskutecznia się z taką szybkością iż robotnicy nie są w stanie nadążyć wiązać je w snopy, to też w Ameryce północnej oddawna myślano nad tem aby niedogodności tej zaradzić. Maszyny jednak March'a i inne przedstawione na wystawie powszechnej wiedeńskiej w r. 1873, okazały się niepraktycznemi bo wymagały zanadto uciążliwej i kosztownej obsługi. Co się przecież nie udało amerykanom, udało się świetnie podolakowi panu Jachimowiczowi,

dając jeszcze nie możemy być pewni pożądanego zbioru, gdyż z nasienia wyborowego można otrzymać buraki liche, jeżeli siać będziemy w ziemi przesyconej do zbytku nawozem azotowym. Od czasów Villea' który pierwszy na wielką skalę urządził we Francyi pola doświadczalne, rolnictwo pozyskało wielu pracowników badających pod względem naukowym i utylitarnym warunki rozwoju roślin, a mianowicie zbożowych i warzywnych. U nas dotąd nikt się nie zajmuje o ile mi wiadomo tego rodzaju poszukiwaniami, chociaż te byłyby wielce pożytecznemi dla rolnictwa. Nikt nie zadał sobie pracy oddzielić kilka choćby morgów gruntu na pola doświadczalne i prowadzić uprawę roślin w ten sposób, aby jeden gatunek poddawanym był rozmaitym nawozom chemicznym w stopniowem ustosunkowaniu ich ilości. Ville przed kilku laty miewał przed licznymi słuchaczami prelekcyje popierając swe słowa i wnioski żywemi okazami roślinnemi. Takie usiłowania muszą zawsze przynosić pewien owoc, stąd też rolnictwo francuskie podniosło się znakomicie rywalizując z niemieckiem i belgijskiem. Z obserwacyj poczynionych w balonie Zenit, w którym znalezli grób męczennicy nauki Sivel i Croce-Spinelli, wiedza pozyskała niektóre ważne dane, zebrane przez pozostałego przy życiu areonautę Tissandiera. Doświadczenia odbyte w Zenicie z możliwą ścisłością naukową okazały, że ilość kwasu węglanego zmniejsza się coraz więcej w wyższych warstwach atmosfery. Odważni ci żeglarze powietrzni, obserwowali przytem przepyszne halo księżycowe, wytworzone w postaci krzyża oraz ciekawe zjawiska elektryczności. Złote listki elektroskopu zachowywały się w ciągu nocy obojętnie, wszakże przy wschodzie słońca oddalały się od siebie o 0,06--0,07 metra. Doświadczenia spektroskopowe Crocé-Spinelli'ego potwierdzały najzupełniej spostrzeżenia hygnometryczne. Gdy słońce i księżyc pozostawały poniżej horyzontu w spektroskopie przejawiały się wielce wybitnie prążki pary wodnej. I przeciwnie gdy te ciała niebieskie zaczęły się wznosić nad horyzont, prążki słabły i w końcu znikały, co najwyraźniej wskazuje, że w wyższych warstwach powietrza, ilość pary wodnej jest bardzo mała. Wczasie podróży aeronauci zaobserwowali sześć gwiazd spadających, które pozostawiły w przestworzu po ich przebiegu ślad mocno błękitny.

Rodak nasz P. Chudzyński, znany dobrze we Francyi przyrodnik przedstawiał w ostatnich czasach Paryskiej akademii nauk, rezultaty swych badań, dotyczących *systemu mięśniowego murzynów*, który zestawiał z właściwem plemieniowi białemu. Ze spostrzeżeń tego uczonego wypływa, że w tym systemie równie jak w kostnym, ustrój murzyna bliższym jest małpatropojdowych niż budowy cechującej rasę białą. Analogiję tę uwidocznił on bardzo wyraziście w rozprawie odczytanej na posiedzeniu akademii. U ręki jednego murzyna p. Chudzyński napotkał też same cechy ustrojowe jakie są charakterystycznemi u rąk primatów. Spostrzeżenia dalsze tego przyrodnika które tu pomijam okazują jasno, jak często organizm zwierzęcy ulega przekształceniom, nawet w układzie kostnym, który jak się zdaje powinien być najoporniejszym i najmniej zmiennym; że tak nie jest dowodzą tego w tej mierze nietylko spostrzeżenia anatomiczne Chudzyńskiego, ale i Marey'a znakomitego fizyjologa francuskiego. Podobną zmienność napotykamy zresztą i w świecie roślinnym. Ujawniły to ostatnie badania p. Costera poczynione nad chrzanem którego korzenie zanurzone były w wodzie. Liście chrzanu utrzymywanego w wodzie, przyjęły zrazu kształt pierzasto równowązkich, a następnie zwolna zamieniły się w liście z brzegiem karbowanym i falistym. Tego rodzaju zjawiska popierają teoryją przekształceń, która dla tego liczy tylu zwolenników, że fakty doniosłego znaczenia służą jej za podstawę.

d. 14/6 75 r.

Wincenty Niewiadomski.

KRAJ I JEGO CIEKAWOŚCI.

WYCIECZKA DO GIELNIOWA.

PRZEZ

Kornelego Kozłowskiego.

Doprawdy że nie wiem, co by wam napisac o Gielniowie. Mieścina nędzna, jak już nie idzie dalej, okolica jałowa, wabna dla oka jedynie swą dzikością, — z przeszłości tych miejsc nic nie wiem, oto — jak sami widzicie materyjał wcale nie bogaty. A jednak, skorom już wybrnął z piasków, wydobył się z głębi kamienistego jaru, czyli *rzeki Gielniowskiej* i przebył ową prawdziwie dziadowską drogę, czy bezdroże, od szosy między Brzostowcem a Gielniowem, skorom zajechał przed plebanią, cofać się było niepodobna.

A więc — ująwszy za klamkę, przestępujemy progi skromnego domostwa, z powitaniem, dawniej powszechnem, a dziś w użyciu już tylko pomiędzy księżmi i u chłopstwa.

— Laudetur Jesus Christus.

— In saecula saeculorum.

— Ksiądz proboszcz dobrodziej...

— Tak jest szanowny panie.

Opowiedziałem cel przybycia.

Uczyniwszy zadosyć prawom powszechnej gościnności, ksiądz proboszcz powiedział bez ogródki:

— Tu panie dobrodzieju nie ma żadnych osobliwości do widzenia, żadnych zabytków dawniejszych, jak te oto — i wskazał przez okno — walące się chałupy w pośród rynku.

— Ale proboszczu, może się znajdzie co w kościele, stare jakie nagrobki lub napisy? może co z dawnych aparatów?

— Kościół — jak pan widzisz — został nowo zupełnie postawiony, jeszcze nawet nie całkiem wykończony, nie ma w nim nic starego.

— A papiery?

znanemu także i w literaturze polskiej. Pan J... po długoletnich usiłowaniach wynalazł maszynę do składania i wiązania zboża, najzupełniej odpowiadającą wszelkim wymaganiom—i używał jej już w majątku swoim na Podolu z najlepszym skutkiem, chociaż bardzo ona niedokładnie wykonaną była. P. Jachimowicz, powiada N. F. P., zawiązał stosunki ze znaną firmą Friedlender i Franck w Wiedniu i ta buduje już kilkanaście maszyn podobnych, które w ciągu bieżącego jeszcze lata podda próbom publicznym.

† Świeżo otwarte mogiły przyjęły do swego łona dwóch znakomitych pracowników myśli na polu piśmiennictwa. W dniu 2 b. m. zmarł w Krakowie *Józef Kremer*, uczony estetyk i filozof. Znane są wam zapewne, łaskawi czytelnicy te utwory nieśmiertelnego pióra, w których prawdziwemi perłami lśnił się język nasz. Zaiste, pozostaną one na długo nieocenionym wzorem dla piszących. Do najznakomitszych płodów tego pisarza w których pod piękną szatą skrywają się głębokie, chociaż niezgodne już po większej części z duchem czasu, teoryje estetyczne i filozoficzne, należą: „Podróże do Włoch" i „Listy z Krakowa." Również pożyteczny na arenie czynu, jako profesor i członek akademii, zmarły zostawił po sobie głęboki żal w sercach ziomków, a mogiłę jego uwieńczył laur sławy, który się na długie przechowa pokolenia. Uroczysty też i wspaniały był pogrzeb ś. p. Kremera. Całe niemal miasto wyległo na uczczenie zwłok znakomitego męża. Studenci i profesorowie Jagielońskiego uniwersytetu ponieśli na swych barkach zwłoki zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku. Nad grobem jeden z grona profesorów w krótkich lecz serdecznych słowach pożegnał cienie zmarłego, i każdy z obecnych rzucił garść ziemi na zwłoki tego, który pracą swą przyniósł wielkie zasługi społeczeństwu.

Równocześnie prawie, bo w kilka tylko dni później okrutna dłoń śmierci ugodziła człowieka którego imię łączyło się zawsze nierozerwalnym węzłem z imieniem ś. p. Kremera. W Brdowie w Poznańskiem zmarł *Karol Libelt*, którego działalność na polu piśmienniczem nosiła tenże sam prawie charakter w poważniejszym tylko nieco zakroju. Odznaczył się on, jako filozof, estetyk i matematyk. Na polu czynu, jako prawdziwy obywatel kraju, nie małe też poniósł zasługi.

Cześć pamięci waszej, o duchy zmarłych!...

Bliższe szczegóły o życiu i pracach obu myślicieli damy później nieco.

† W dniu 10 b. m. zgasła znana pracowniczka pióra, *Paulina z Lauczów Wilkońska*, żona nieocenionego humorysty naszego. Zmarła jest autorką kilkudziesięciu powieści, napisanych z zacną tendencyją i tem nieporównanem ciepłem, które mimowoli porywało serca. Jakąż czarowną woń rodzinnej strzechy czuć było w każdej myśli, które przyobleka wprawdzie niekiedy zbyt sentymentalne szaty, lecz wynagradza to serdecznością uczucia i zacności myśli. Pokój cieniom zmarłej!..

Rozpatrując się w nekrologach obecnego miesiąca spostrzegamy smutne zjawisko. Drugiego umarł Kremer Józef, dziewiątego Karol Liebelt — przesuwamy się po jednoczesnym

— Papiery? — no tak, coś się znajdzie, — ale mało.

Może nie wiecie, że Gielniów był miejscem rodzinnem Świętego. Świadczę się pierwszym lepszym jaki znajdziecie pod ręką kalendarzem, gdzie przy końcu miesiąca Września jest zapisana uroczystość błogosławionego *Ładysława z Gielniowa*. — Przyznajcie, to — jak na Gielniów — rzecz nie mała, — no — i powód, dla którego chciałem tu poszperać i poszukać, czyby się z przeszłości co nie znalazło.

Ksiądz proboszcz zresztą chętnie dostarczył mi wiadomości i papierów na jakie go stać było. Z tych dowiedziałem się że Gielniów, choć dzisiaj nędzny i upadły, był przecież kiedyś miasteczkiem ludnem i zamożnem.

I rzeczywiście, położenie Gielniowa na głównym trakcie kupieckim, prowadzącym przez Lublin, Kazimierz, Radom, Skrzynno, Opoczno, Radomsk i Bolesławiec, do Wrocławia i krajów zachodnich *), podtrzymywało jego byt i zamożność. Każde miasteczko na tym ruchliwym trakcie, było kiedyś stacyją dla kupców ciągnących z towarami. Znajdowali tu odpoczynek po ciężkiej drodze, wśród piasków, błot i topiel, —zatrzymywali się na czas jarmarków i odpustów, na które ludność zamożna, tak dobrze szlachecka, jak włościańska, zbiegała się z okolicy. Przytem miasteczka pełne były nietylko kupczących, żyjących z łokcia lub kwaterki, ale i także nasiadłe mnóstwem rzemieślników, o jakich dzisiaj trudno i w dużych miastach. Bo nie mówiąc o pospolitym rzemieślniku, jak o krawcach, szewcach, rymarzach, stolarzach, bednarzach, piekarzach, piwowarach, kowalach, ślusarzach, czapnikach i t. d., przesiadywali po miasteczkach i żyli ze swej profesyi puszkarze, płatnerzy, iglarze, paśnicy, złotnicy, fabrykanci instrumentów i strun muzycznych, zamesznicy i inni. Ci wszyscy potrzebowali dla swego przemysłu i przeróbki odpowiedniego materyjału, którego im dostarczali owi właśnie kupcy, handel przewoźny prowadzący. Był więc ogromny ruch, a przy powszechnej zamożności, przemysł kwitł i utrzymywała się dobroć wyrobów, mających pokup zapewniony.

*) Patrz Raczyńskiego Kodeks dyplom. Wielkopolski N. CXXVI.

Ta świetna epoka trwała dość długo, bo przez trzy wieki, do drugiej połowy w. XVII, kiedy wzmagająca się anarchija i niemoc wewnętrzna doprowadziły naród do upadku.

Tęż samą kolej co i inne miasteczka, przeszedł Gielniów, tylko że prawo miejskie otrzymał dopiero w pierwszej połowie w. XVII.

Do ważniejszych, choć wcale niegłośnych dat miejscowej kroniki, należy zbudowanie tu w r. 1382 kościoła, którego fundatorem był niejaki Mściwój dziedzic Skrzynna dużego. Kościół ten drewniany był, modrzewiowy, oblata jego erekcyi jest na miejscu. Wr. 1674 Aleksander Koryciński chorąży krakowski, dziedzic na Gowarczowie i Rozwadach, zapisał dlań różne grunta. Ale już odtąd zupełnie głucho o Gielniowie; domyślamy się tylko, że w czasie dwukrotnego pobytu w tych stronach Szwedów, raz za Jana Kazimierza, drugi raz za Augusta II, miasteczko to uległo zniszczeniu podobnie jak wiele innych.

W drugiej połowie wieku zeszłego, Gielniów z folwarkiem Wywóz należał do Filipa Nereusza Szaniawskiego, starosty kąkolownickiego, dziedzica Drzewicy, Nieznamierowic i innych w tej stronie kraju majętności. Starosta sławny z rozrzutności i awarturniczego życia ogromnie też był w interesach, zwłaszcza pod koniec życia zaszargany. Po długim procesie z niejakim Święcickim, stolnikiem kijowskim, któremu się należała suma 20,000 złp., w monecie złotej węgierskiej, z procentami, na skutek wyroku ostatecznego Trybunału Lubelskiego w r. 1776, klucz Gielniowski oddany został urzędownie na wytrzymanie temuż Święcickiemu. Akt tradycyi, opisujący stan całego majątku, wymienia wszystkich poddanych, z żonami ich i potomstwem, którzy pańszczyznę tygodniową odrabiali, a oprócz tej winni byli: „Stróżą najprzód strzedz kapustę sadzić i one obrać, siano *bezednia* w kopy zgrabić, rzepę obrać, chmiel oskubać, trzodę kolejno paść.“ Gospodarstwo było w bardzo nędznym stanie, grunta oddawano w trzeciznę t. j. za trzeci snopek. Tak nazwane „*pospólstwo miasteczka*“ czyli mieszczanie, musieli robić dworowi po kilkanaście dni, nadto płacili do każdego takiego dnia roboczego po 1 groszu, dawali każdy kapłona, prócz tego po 2 dni do pielenia, a osobno do *ubierania* łąk. Od powinności tych wolny był jedynie *Urząd* t. j. burmistrz, wójt i pisarz, którzy jednak płacili dworowi, tak jak i reszta mieszczan, od każdego półwarka piwa jeżeli je robili po złp. 8 gr. 15½. Suma robocizn i powinności mieszczan, prócz tego co się od kmieci należało czyniła: od 46 obywateli dni roboczych 437 i tyleż groszy, kapłonów 40, do pielenia dni 92, także do *ubierania* łąk, nadto od 13 komorników dni 46, zaś 7 komorników nic nie robiło.

W r. 1806 Gielniów dotknęła straszna klęska pożaru, która była i jest zawsze chroniczną chorobą wszystkich naszych miasteczek zapchanych zwykle najnieopatrzniej drewnianemi klitami, stawianemi bez żadnej przezorności, bez zapewnienia jakichkolwiek w razie wypadku środków ratunkowych, często bez studzien i wody, której potrzeba szukać nieraz w jakiej strudze, gdzieś tam o wiorstę odległości.

Był to właśnie dzień jarmarczny, ludu okolicznego ściągnęło dużo, napędzono bydła, szczególnie pięknych wołów, któremi celuje Opoczyńskie, na targowisku końskiem żydzi i chłopi harcowali, wzajemnie się potrącając, obok na piaskach głośna zdaleka nierogacizna, ściągała nabywców, szczególniej tak zwanych *gońców*, zakupujących całe stada kwiczącego towaru do Pruss, wzdłuż rynku *masiarze* pozastawiali stoły ze słoniną, szpondrem i kiełbasami, obok nich roztasowali się bednarze z kłodami i przycierkami, siciarze, stolarze

---

zgonie Pauliny Wilkońskiej—spotykamy wieść że Aleksander Fredro ciężko chory, może niedługo i jego wypadnie wciągnąć w poczet zagasłych na firmamencie literackim gwiazd pierwszego blasku. Policzmy dawniej zmarłych jak: Szajnocha, Lelewel, Bartoszewicz, Pol, Helcel, Grabowski A... smutna to litanija, smutniejsza uwaga dla patrzącego na ten korowód pogrzebowy, że coraz mniej pracowników na pustką zalegającej niwie dziejów, filozofii, sztuki... A gdzie tu szukać zastępców?!

Miłej prawdziwie niespodzianki doznaliśmy w ubiegłym tygodniu. W Tivoli przedstawiano *Halkę*. Nie spodziewaliśmy się doprawdy, aby uboga w artystyczne zasoby trupa prowincyjonalna, mogła tak stosunkowo dobrze wystawić nieśmiertelny płód zmarłego mistrza. Bohaterem wieczoru był młodziutki debiutant w roli Jontka p. *Fileborn* (junior). P. F. wystąpił odrazu jako prawdziwy artysta z pełnią zasobów wokalnych, z miłym i stosunkowo do wieku silnym dosyć głosem, z umiejętnością śpiewu i gry, a szczególniej niepospolitem frazowaniem, co w początkującym artyście jest rzeczą dosyć rzadką.

Prawdziwe też uznanie należy się p. *Wierzbickiej* (Halka) która posiadając niezbyt wysoką skalę głosu włada nim z prawdziwą umiejętnością. Podziwialiśmy też wyśmienitą grę artystki, w której rozwinęła całą pełnią dramatycznych zdolności.

P. *Grabiński* w roli Janusza i p. *Solska* w roli Stolnikowej wywiązali się stosunkowo nieźle.

P. *Patiuszenko* i *Puchniewski* psuli efekt całości niewyleczonem cierpieniem na bezgłosie. Pierwszy miał jeszcze kilka chwil szczęśliwych, drugiemu radzilibyśmy nie garnąć się nigdy do śpiewu w operze. Tak w jakiej operetce lub komedyjce ze śpiewkami możemy prędzej znieść dysharmonijny ton lekkiej piosenki. Lecz w dziedzinę poważnej sztuki nie należy wstępować należycie nieprzygotowanym choćby przez samo dla niej poszanowanie, o którem p. Puchniewski, jako prawdziwy skądinąd artysta, nigdy zapominać nie powinien.

Chóry wywiązały się ze swego zadania nadspodziewanie, za co Szan. Dyrektorowi części muzycznej p. *Padydze* należy się słuszne uznanie.

P. S. Na drugiem przedstawieniu Halki rolę Stolnika śpiewał p. *Trojacki*. Aczkolwiek głos debiutanta znajdował się widocznie w niedyspozycyi, wykazał on jednakże więcej nieco zdolności wokalnych od poprzednika. W każdym razie wiele pracy jeszcze potrzeba aby młody artysta śmiało zapukać mógł do dziedziny prawdziwej sztuki.

Wedle Gazety Warszawskiej N. 124 *Stowarzyszenie kasy emerytalnej* kolei żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiej i Warszawsko-Bydgoskiej wykazuje w swem za rok 1874 sprawozdaniu piękne cyfry. Rzeczywisty majątek Stowarzyszenia wynosi rs. 376,184 kop. 86, tak że wzrost w porównaniu z rokiem poprzednim 1873 wynosi 30,038 kop. 92. Procenta od pożyczek i od kapitałów uczyniły 21,371, kop. 33 a wydatki były następne:

na pensyje emerytalne 32
emerytom i 90 wdowom Rs. 11,822 k. 46

produkujący się kwiecistemi skrzyniami i innym statkiem, dalej szewcy, już to miejscowi, już z Opoczna, Przysuchy i innych miast, żydzi z ubraniem dla chłopstwa i dla waszeciów, z kożuchami, z czapkami, kaszkietami i kapeluszami. Rzędem stanęły fury cebularzy z włoszczyzną, przybyłe tu aż z Przybyszewa za Pilicą, za temi fury ze zbożem, sławne wozy gielniowskie i opoczyńskie, bryczki koneckie (t. j z Końskich,) płużyce, brony, garnki, szkło. Przed kościołem w budkach pod nakryciem płóciennem różny towar łokciowy, także obrazki, paciorki, pierścionki mosiężne i t. d.

Nagle, kiedy się już rozpoczął jarmarczny ścisk, ruch i wrzawa, rozległ się okrzyk „gore! gore! ratujta!“ i zaraz poczęto gwałtownie we dzwony bić na trwogę. Niełatwo opisać skutek tego strasznego hasła, niechaj go sobie wyobrazi ten z czytelników, któremu się zdarzyło być kiedy świadkiem pożaru w małem miasteczku, choćby w dzień zwykły, nie targowy. Obraz to smutny, pozostawiający w duszy wrażenie na długi czas niezatarte.

Ten który opisujemy, w skutkach straszniejszym był od innych. Wśród ogólnego zgiełku i zajęcia jarmacznego, ogień niepostrzeżeżenie wybuchnął gdzieś na tyłach; czas był wietrzny, więc zaraz prawie czarny słup dymu wraz z milijonami iskier wybił się w górę i cała jedna połać drewnianych domów stanęła w ogniu. Otóż zrobił się sądny dzień, powstał straszliwy krzyk, któremu wtórował trzask palących się gątów i gęsto niesione wiatrem słomiane snopki, pełne ognia.

Zamiast wziąć się do ratowania domów, lud zaczął rwać i uprzątać towary ze straganów. Tymczasem wiatr dął gwałtownie ku drugiej stronie rynku, za nim zdołano się opamiętać, ogień obszedł już dokoła, a nagromadzone na środku rynku stosy towarów i rupieci, od wielkiego gorąca i padających iskier gwałtownie zaczęły płonąć. Nie było co myśleć o ratunku, każdy teraz choć z życiem rad był uciec, ale nie było łatwo wydobyć się ze straszliwego ścisku i zamieszania. Wszystkie boczne uliczki wychodzące na rynek, były już z powodu ognia niedostępne, pozostawał tylko gościniec, na który kilkotysięczny tłum rzucił się rozpaczliwie, biegnąc jedni w stronę Przysuchy, drudzy ku Opocznu.

Nie wyszło dwóch godzin, a całe miasto było już tylko kupą dymiących się zgliszczów spłonął i kościół, a tak samo plebanija ze wszystkimi sprzętami i papierami, z których bardzo mało co zdołano uratować. Ale co jeszcze zwiększyło ogrom nieszczęścia, to straszna śmierć wśród płomieni tych nieszczęśliwych, którzy ratując swą chudobę, zapomnieli o własnem bezpieczeństwie, lub którzy z powodu zgiełku, ciżby i przerażenia, nie mogli znaleść dość wcześnie wyjścia z owego koła ognistego.

Taki był smutny koniec dawnego Gielniowa jest temu lat blisko 70, a pamięć tej katastrofy żywo tu jeszcze się przechowała.

Dopytywałem i o błogosławionego Ładysława, który w Gielniowie się urodził. U jednego z mieszczan znalazła się książeczka, zawierająca opis życia i cudów tego Świętego. Ze szczególną czcią przechowuje mieszczanin ów szpargalik, mając go przed Bogiem i ludźmi za świadectwo osobliwego szczęścia i zaszczytu, jakiego skromna i zapomniana dziś jego siedziba, w niebieskiej krainie dostąpiła. Może i on sam pochodzi z rodu ubłogosławionego i jest jaką pokrewną mu latoroślą?

Pobożny bernadyn i kaznodzieja Ładysław, a właściwie przed wykonaniem ślubów zakonnych, Jan syn Piotra, urodzony w r. 1440, uczniem był Akademii Krakowskiej. Przez długi czas przebył w Warszawie prowincyałem zakonu bernadynów. Na żądanie króla Aleksandra Jagielończyka posyłał na Litwę zakonników swej reguły, którzy osiedli w Połocku i odznaczyli się gorliwością w tępieniu resztek bałwochwalstwa wśród puszcz litewskich i w nawracaniu do jedności z kościołem rzymskim. Miał być Ładysław bardzo znakomitym kaznodzieją. Raz pod koniec życia, wpadłszy w zapał na kazalnicy, uniesiony był jak mówi podanie w powietrze i tak przez pewien czas pozostał w uniesieniu. Poczem omdlały, zniesiony z ambony przez braci zakonnych i w łóżko położony, nie podniósł się już i w miesiąc potem, d. 4 Maja 1505 r. zmarł. Pochowano go w Warszawie u Bernardynów, w pośrodku chóru zakonnego.

Pamięć cnót i gorliwości religijnej Ładysława, po jego śmierci, otoczona czcią i uwielbieniem, przeszła nareszcie w krainę cudów. Trzeba pamiętać na czasy gorących walk religijnych, które przeciwko szerzącej się wówczas reformacyi zapalały, niekiedy aż do fanatyzmu, głowy.

Po 67 latach, w r. 1572, Stanisław Karnkowski natenczas biskup kujawski, przeniósł szczątki zmarłego, które już słynęły u pobożnych, do katakumby wykutej w ścianie po prawej stronie wielkiego ołtarza. Obecni byli tej ceremonii król Zygmunt August, królewna Anna, kardynałowie Kommendoni i Wincenty Portika, biskupi, senatorowie i posłowie na sejm. Skromny zakonnik, za życia nigdy pewno takich kiedyś zaszczytów się nie spodziewał.

Później Zofija z Łubieńskich Kryska, wdowa po Kanclerzu W. Koronnym, wymurowała swoim nakładem w tymże kościele, dla bł. Ładysława wspaniałą kaplicę, do której biskup poznański Floryjan Czartoryjski, po zamknięciu komisyi beatyfikacyjnej, wyznaczonej przez papieża Urbana VIII, przeniósł relikwie i takowe pomieścił w ołtarzu. W sto lat blisko t. j. około r. 1750. ksiądz Mateusz Roznerski ex-prowincyał, usilnych zaczął dokładać starań o dokończenie procesu beatyfikacyi, co też wyjednał u papieża Benedykta XIV, który Ładysława policzył w poczet błogosławionych, a papież Klemens XII w r. 1759 wyznaczając go na patrona ziemi polskiej i litewskiej, dzień uroczystości jego kazał obchodzić w Niedzielę po Ś. Mateuszu Apostole i Ewangieliście.

Szczegóły te wypisaliśmy ze starej książe-

---

na wychowanie dzieci nieletnich po zmarłych uczestnikach	Rs. 1926	k. 02
na zwrot składek i kar .	Rs. 1029	k. 59
na administracyją kasy .	Rs. 600	k. 10
na różne wydatki . . .	Rs. 40	k. 89
W ogóle wydatki uczyniły sumę	Rs. 15,418	k. 96
tak że czystego dochodu pozostało	Rs. 46,486	k. 04
co włączono do majątku kasy.		

Pożyczki procentowe otrzymało w stosunku dwumiesięcznej pensyi 475 uczestników na sumę 27,775 rs.

Czytaliśmy o członkach innej instytucyi prywatnej, że odbyli dwa posiedzenia w celu utworzenia podobnej kasy. Na jednem uchwalono potrzebę jej, na drugiem niemożność wprowadzenia tej teoryjnej potrzeby w praktykę również użyteczną i potrzebną. Skutkiem to może różnicy inicyjatywy. Jeżeli się nie mylimy istniejące stowarzyszenia wzajemnej pomocy i t. p. wyszły nie od bezpośrednio interesowanych, ale od zwierzchniej władzy, dbalszej o dobro swych pracowników, jak oni sami. Być może, nie jest to zasada ogólna — może kasa dająca nam pochop do robienia tych uwag, właśnie powstała z inicyjatywy biorących udział i korzystających z tej kasy.

Niemniej faktem ogólnym jest zrozumienie w teoryi znaczenia spółek; nie ma pisma, któreby na ten temat nie pisało po kilka razy do roku.... a jednak. Wszystko to głos wołającego na puszczy. Bardzo wiele pięknych myśli rozwinięto już na oklepany ten frazes, będący dewizą belgijską: l'union fait la force. Od wieków przytaczano u nas starożytną powiastkę o Scylurusie scytyjskim, który przy śmierci chcąc zachęcić obrazowo swe dzieci do spólnego zawsze czynu, dał im *pęk rózek* do złamania. Niemogły tego dokonać, aż gdy rozwiązano pęk, i pojedyncze rózgi w ręce im dano.

Daremnie życie wskazuje, że tylko umiejętne wyzyskiwanie pola działalności prywatnej, obywatelskiej, może odrodzić strupieszałych członków społeczeństwa, wytrzeźwić umysły z marzeń poetycznych, które na drodze dotąd praktykowanej dla ich zrealizowania, wydają tylko... krew i pustkę, gdy ugięte w jarzmo *istotnych* obowiązków, zmężniały by pod ciężkim obuchem smutnej rzeczywistości którą *pokonywano* obywatelską pracą, i z ogólników błędnych przekształciłyby się w ożywsze ognie.

Ale zapomnieliśmy kochani Czytelnicy, że przemawiając w tym duchu zyskuje się miano pozytywisty, materyalisty, zapisańca ideałów życia, nihilisty, odstępcą wyssanych w dzieciństwie uczuć i przekonań. Zapomnieliśmy, że dość udrapować się w togę górnobrzmiących słówek; dość zadąć w nutę wspomnień drogich nam zarówno, ale tym drogich jako pamiątka życiem być chcąca, tym jako spuścizna ciążąca obowiązkiem dalszej pracy, tym jako materyał wyzyskiwania serc miłych, i ukrywania swych egoistycznych widoków.

czki zawierającej opis życia bł. Ładysława. Żadnym ono szczególnym efektem się nie odznacza. Od str. 20 do 40 idą godzinki o tymże błogosławionym, następnie „Krótki zbiór cudów i łask boskich etc. z procesu beatyfikacyi wybrany.“ Są to liczne i nader cudowne uzdrowienia w chorobach, dla zasług i przyczyny sługi Bożego bł. Ładysława, doświadczone przez ludzi pobożnych i wierzących. Pierwszej kartki i końca książeczki, którąśmy z łaski pomienionego i szczęśliwego jej posiadacza oglądali, brak.

Taki jest szczupły plon z wycieczki do Gielniowa. W zakończeniu nadmienić trzeba, że miasteczko to, dziś osada, jest zamieszkałe przez wielu stelmachów i kowali. Utrzymują oni odwieczną sławę specyjalności swej, robiąc na handel wozy, które w długich transportach jeden za drugim uczepione, wloką się często po drogach, ciągnąc gdzieś na jarmark między ludzi.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

Step był wodą zalany, grunt się zniżał lub podwyższał gdzie niegdzie jak bałwany oceanu.

Lecieliśmy w kierunku poprzecznym po nierównościach gruntu ciągle z jednakową szybkością.

Była to ciężka próba dla popręgów, ciężki i męczący galop dla biednego Moro.

Czyż ta długa i mordercza pogoń nie skończy się nigdy?

Czy dziki koń nie ustanie nigdy?

Toć musi się zmęczyć nakoniec. Moro dorównywał mu w sile i szybkości, ale biegun stepowy był na swoich że tak powiem śmieciach, siły jego nie były jeszcze wyczerpane tak zupełnie, oczy ciągle miałem weń wlepione i nie odwracałem ich na chwilę.

Tajemnicza jakaś ogarnęła mnie obawa, lękałem się odwrócić aby go nie stracić z oczu.

Wspomnienia pierwszej pogoni stanęły mi żywo w myśli, a fatalne przypuszczenia znowu się cisnęły do głowy.

Nie patrzyłem ani w prawo ani w lewo ale prosto przed siebie, wlepiając wzrok wytężony w cel mojej pogoni, obliczając w duszy przestrzeń jaka nas oddzielała jeszcze.

Jakżem się ucieszył przesadziwszy ostatnią wyniosłość stepu, i zobaczywszy równinę rozciągającą się przedemną!

Z jakiem uczuciem radości przekonałem się iż na tej gładkiej powierzchni odzyskuję stanowczą przewagę!

Dotrzymywałem ciągle placu białemu rumakowi i nie byłem już odeń dalej jak o trzysta jakie kroków. Na tę odległość mogłem widzieć moję biedną Isolinę — mogłem widzieć nieszczęśliwą ofiarę, jej nogi wyciągnięte i przywiązane do konia, jej ubranie zwieszające się w strzępkach podartych, jej stopy, jej długie czarne włosy rozrzucone i wlekące się aż po ziemi, mogłem już widzieć to wszystko a nawet bladość jej twarzyczki gdy od czasu do czasu koń dziki wstrząsł w tył głową.

Widziałem krew na policzkach męczennicy kochanej.

Byłem tak blisko że mogłem się dać słyszeć, wrzeszczałem też z całych sił, wołałem na nią po imieniu, wlepiałem weń oczy i oczekiwałem odpowiedzi z nieopisanym niepokojem.

Zdawało mi się że uniosła głowę, że mnie zrozumiała i chciała odpowiedzieć.

Nie słyszałem jej głosu, ależ musiał być tak słabym że go głuszył odgłos kopyt końskich.

I wołałem znowu jak tylko mogłem najgłośniej — powtarzając po razy tysiąc jej imię.

Teraz posłyszałem coś i dostrzegłem poruszenie głowy.

To nie sen — to rzeczywistość — to prawda.

Chwała i dzięki Bogu, zawołałem, Isolina żyje jeszcze.

Zaledwie atoli wymówiłem te dziękczynne słowa, poczułem iż się koń mój uchyla jak gdyby zagłębiał się w ziemię.

Wysadzony nagle ze strzemion zleciałem głową na ziemię, Moro potknął się o jamę bobaka i runął ciężko na ziemię.

Ten upadek nie zrobił mi nic złego, ani mię nie zmieszał. We dwie sekundy byłem już na nogach, pochwyciłem w ręce cugle i i skoczyłem na siodło, kiedy przecież zwróciłem na nowo Mora w kierunku dalszej pogoni nic już nie zobaczyłem zgoła. Biały koń i ofiara wszystko to naraz przepadło...

ROZDZIAŁ LIX.

W lesie

Łatwo sobie wyobrazić moję wściekłą rozpacz!

Tym razem zniknięcie konia nie było osłonione żadną tajemnicą — las tłomaczył ją dokładnie.

Nie widziałem nic to prawda, alem słyszał odgłos kopyt odbijających się na twardym gruncie, trzeszczenie łamanych suchych gałęzi i szmer liści poruszanych w przelocie.

Te różne odgłosy posłużyły mi za przewodnika, to też nie zatrzymując się dla rozpoznania śladu puściłem się co rychlej do najbliższego punktu z którego mnie doszło poruszenie zbiega.

Ma się rozumieć żem nie tracił też wcale czasu na wybieranie dogodnego przejścia, alem Mora puścił na oślep w zarośla.

Prując piersiami krzaki które mu dochodziły do szyi, dzielny wierzchowiec gnał jak mógł najlepiej, alem palnął niestety niepotrzebne głupstwo.

Nie słyszałem już teraz ani odgłosu kopyt ani trzasku łamiących się gałęzi i na chybił trafił leciałem.

Gdym się zatrzymał, nadstawił ucha, doszedł mnie jakiś szmer niewyraźny jakby przedzierał się przez gęste zarośla, szmer to był przecież bardzo słaby i bardzo oddalony i coraz więcej niewyraźniejszym się stawał.

Raz jeszcze popędziłem konia naprzód chociaż także na domysł tylko, i gdy zaledwie sto ujechałem kroków, niepewność zmusiła mnie zatrzymać się ponownie.

Nadstawiłem uszu cicho ,było jak makiem zasiał.

Albo więc koń biały zatrzymał się i stoi spokojnie, albo co więcej do prawdy podobne, wyprzedził mnie tak iż odgłos biegu jego nie mógł mnie już dochodzić.

Zły, wzburzony i zrozpaczony nie byłem zdolny namyślać się na zimno, spiąłem więc ostrogami Mora i marsz znowu w zarośla.

Ubiegłem z kilkaset kroków, przystanąłem raz jeszcze i nadstawiłem uszów... Wszystko naprożno!

Najmniejszy nie doszedł mnie szelest — las milczał jak grób, ptak nawet nie poruszył się na gałęzi.

Porwał mnie jakiś rodzaj nienawiści na samego siebie, i zacząłem wyrzucać sobie nieroztropność moję. Bez tego szalonego pośpiechu mogłem był biedz za śladem, mogłem był może zobaczyć znowu białego, a teraz mówiłem, klnąc na czem świat stoi, poleciał Bóg wie gdzie i wszystko stracone.

Naprożno dla odszukania śladu rzucałem się w przeróżne strony, nigdzie niczego doszukać się nie mogłem.

Nie ma co, trzeba powrócić na step otwarty, odnaleść ślad i ztamtąd postępować za nim.

Było to postanowienie najrozsądniejsze i jedynie zdolne doprowadzić mnie do celu. Zdawało mi się iż tym sposobem odrazu odnajdę ślad miejsca którem rumak stepowy dostał się do lasu i odtąd będę za nim postępował bez żadnej trudności.

I zawróciłem Mora i skierowałem go w stronę stepu.

Dopiero po półgodzinnem jechaniu, to jest po zrobieniu mili przeszło pomiędzy zaroślami — po upchaniu drugiej mili w kierunku przeciwnym, to w prawo to w lewo, zatrzymałem Mora zmordowanego ogromnie, zarzuciłem mu cugle na szyję i siedziałem ze spuszczoną głową na siodle, w rozpaczliwej pewności że nareszcie i ja sam zabłądziłem.

Zbłąkany w lesie w pośród łodyg spalonych od słońca i kolących ostremi rogami nie mogłem bezkarnie posuwać się naprzód, to też ubranie moje podarte, nogi zakrwawione.

Moje nogi... Mój Boże!... A cóż mówić o tych ślicznych kształtów członkach... o tych ramionach tak zgrabnie zaokrąglonych, o tej płci tak delikatnej?..

Te kolce musiały ją pokaleczyć — podrapać!...

I znów przykre zaczęły owładać mną myśli, aby się więc nie poddawać rzuciłem się gwałtownie naprzód pomiędzy krzaki aby się z nich wyrwać coprędzej.

ROZDZIAŁ LX.

Spotkanie z dzikami.

Ani ziemia ani niebo nie dawały mi żadnych znaków podług których mógłbym się był kierować. Domyślałem się tylko że jestem na

zachodzie i że aby się na step wydostać trzeba zwrócić ku wschodowi.

Słońce zasłonięte było ciężką ołowianą chmurą.

Gdyby las w pośrodku którego się znajdowałem porosły był drzewami północnemi mógłbym się oryjentować bo kora dębu czy wiązu jesionu czy klonu buku, czy figomorwy służyły by mi za busolę ale w tem gęstem zbiorowisku kolczastych krzewów całkiem byłem obcy, bom się nie znał zupełnie na wegetacyi pustyni.

Nie było innej rady jak powierzyć się zupełnie mojemu Moro.

Nieraz już zbłąkany w lesie lub na stepie zdawałem się na jego instynkt, i dobrze mi zwykle z tem było.

Zawsze wyprowadzał mnie na drogę którąśmy wyjechali z domu, tylko że teraz ani on biedak, ani ja nie mieliśmy domu w tym kraju. Moro był szeregowcem od lat kilku i włóczył się z kraju do kraju, zwiedzając miejsca położone o setki, a często i więcej mil jedne od drugich, oddawna więc zapomniał także o stajni na rodzinnej swojej ziemi.

Tak — mówiłem sobie, jeżeli źródło jest tu gdzie nie daleko, Moro odnajdzie je instynktem, bo pragnienie dokuczało nam obu.

Puściłem więc swobodnie cugle i zdałem się nań zupełnie.

Krzyczałem z całego gardła w nadziei, że posłyszą mnie towarzysze, nie myślałem bo o nikim innym, nie przypuszczając aby mogła znajdować się jaka ludzka dusza w miejscu którego nawet dzikie unikały zwierzęta?...

Jadowite jaszczurki, węże grzechotniki, pancerniki pokryte łuską, oto zarośli tych mieszkańcy, chociaż i te nawet żyjące stworzenia nie gnieżdżą się zbyt obficie w lasach Meksykańskich.

Panuje tu grobowe milczenie, które czasami tylko przerywa podmuch wiatru wstrząsający liściami akacyi.

Krzyczałem aby dać znak moim towarzyszom, przypuszczałem bowiem że nie opuszczą śladu i chociaż znajdowali się może bardzo wtedy daleko, gdym wjeżdżał do lasu, dotrą za mną przecie.

Ale i to pytanie za czyim pojadą śladem. Za moim czy białego stepów rumaka?

Nie przyszło mi to na myśl odrazu zatrzymałem się tedy trochę iżby się zastanowić. Jeżeli zdążają za mną źle robię że jadę i ciągle się od nich oddalam, zwłaszcza gdy i tak dałem im już dobry węzeł do rozplątania, droga bowiem którą obrałem była labiryntem prawdziwym.

A że bardzo prawdopodobnem było iż po moim udadzą się tropie, przypuszczając iż musiałem mieć powody dla których oddaliłem się od śladów białego rumaka, postanowiłem jechać na przeciwko nich z powrotem, przynajmniej przez czas tak mniej więcej długi jakiego potrzebaby na to iżbyśmy zetknęli się ze sobą.

Przedewszystkiem litując się nad biednem dźwigającem mnie zwierzęciem pokrytem do szczętu pianą, zeskoczyłem na ziemię — i udałem się dalej pieszo, wykrzykując od czasu do czasu strzelając z pistoletu i za każdym razem nadsłuchując ażali nie pochwycę w odwecie jakiej odpowiedzi. Daremne usiłowania — towarzysze moi bardzo jeszcze byli widać daleko.

I znowu maszerowałem naprzód aż podług mego obrachunku nadszedł czas iżbyśmy się zeszli ze sobą. Wtedy wystrzeliłem znowu kilka razy, tak jednak jak poprzednio echo mi tylko odpowiedzią było.

Czy zatem, pomyślałem sobie, nie udali się oni za śladem białego konia, czy nie zapędzili się za nim, tak daleko że odgłos strzałów ich nie dochodzi.

Naraz gdym się tym medytacyjom oddawał uderzył mnie osobliwy krzyk ptaków pochodzący z dosyć daleka, krzyk to był szczególny poznałem w nim przecież głos sójki pomieszany ze szczebiotaniem „*cardinal'a*."

Z tonu okrzyków tych poznałem że ptaki musiały być rozgniewane bardzo, że jątrzyła je obecność jakiegoś nieprzyjaciela, przed którym może gniazd potrzebowały bronić. Może nieprzyjacielem tym był wąż, a może ludzie się moi zbliżali, lub biały koń nadciągał.

Skoczyłem na siodło żeby się lepiej wierzchołkom drzew przypatrzeć, jakoż śledząc za głosem ptaków nie omieszkałem odkryć przyczyny zamieszania.

Spostrzegłem sójki i „cardinale" fruwające razem pomiędzy gałęziami i widocznie zaniepokojone niezwykle jakimś przedmiotem który się znajdował na ziemi. Jednocześnie posłyszałem dziwne głosy jakieś, silniejsze od głosów ptasich, ale nie mogłem zgadnąć skąd pochodziły.

Straciłem odwagę bom podejrzywał że to nie koniecznie coś pomyślnego dla mnie.

Zresztą chałas zbliżał się co raz bardziej postanowiłem więc przekonać się co go mogło spowodować w tych miejscach tak strasznie spokojnych dotąd.

Skierowałem się ku miejscu skąd pochodził chałas tak prędko o ile tylko koń był sobie wstanie torować drogę pomiędzy zaroślami i wkrótce dowiedziałem się czego się mam trzymać.

Wyjeżdżając na brzeg małej polanki zobaczyłem dziwny widok, zobaczyłem bitwę czerwonego tygrysa z bandą *javalis*, t. j. pewnego gatunku dzików.

Śmiałe otóż małe dziki atakowały tygrysa który stawiał im dzielny opór.

Kilku dzików śmiertelnie rażonych ogromnemi pazurami nieprzyjaciela, leżało już na ziemi, reszta jednak nie trwożyła się tem zupełnie obsaczała przeciwnika, doskakiwała doń z otwartą paszczą i cięła go ostremi kłami.

Widok ten obudził żyłkę moję strzelecką pochwyciłem więc karabin, począłem szukać oczami celu.

Nie wahałem się nad wyborem bestyi w którą miałem ugodzić, tygrysa trzeba było położyć, pociągnąłem tedy za kurek i posłałem mu kulę prosto w czaszkę w skutku której padł odrazu pośrodku swoich napastników.

Nie upłynęło minuty gdy już żałować mi przyszło wyboru ofiary.

Tygrys był tylko jeden, należało go więc oszczędzić a powalić jednego z jego napastników z najeżoną sierścią, boć prawdopodobnem było iż ukończywszy z tygrysem i zwrócą się ku mnie i mojemu koniowi z taką samą dzikością jakiej byłem świadkiem przed chwilą.

Stało się tak jak mówię a w dodatku nie miałem żadnego sposobu ukarania niewdzięczników, bo nim zdołałem nabić na nowo karabin już mnie atakowano energicznie.

Koń przerażony niespodzianem oblężeniem i widokiem dziwacznych bestyj, rżał, kopał ziemię i kręcił się na wszystkie strony ale w którą się tylko stronę obrócił ze dwudziestu potworów sunęło się za nim, raniąc mu nogi swojemi kłami.

Wielkie szczęście że utrzymałem się na siodle gdybym był bowiem zleciał na ziemię z pewnością rozszarpały by mnie w kawałki.

Nie pozostało innego sposobu ratunku nad ucieczkę to też spiąwszy Mora ostrogami puściłem go swobodnie.

Pomiędzy mnóstwem krzewów poplątanych dziki pędziły co sił za nami pomimo żem już jakieś sto kroków ujechał biegły ciągle skacząc wściekle do nóg wierzchowca.

W tej samej chwili jakieś głosy doszły do moich uszów a prawie jednocześnie spostrzegłem jeźdźców ciągnących przez zarośla.

Był to Staufield Quakenboss i reszta szeregowców.

Zeskoczyli na ziemię, chwycili za rewolwery, przerzedzili szeregi dzików a pozostałych przy życiu zmusili do rejterady pośpiesznej.

ROZDZIAŁ LXI.

Czy to las się pali?

Rube i Garey nie znajdowali się pomiędzy wybawcami moimi, obadwa bowiem pojechali za śladem białego konia, zleciwszy szeregowcom udać się w poszukiwania za mną.

Osądźcie radość jaką mi sprawiła ta przytomność umysłu moich przyjaciół dzielnych. Uczynili właśnie to czego gorąco pragnąłem i mnie znaleźli i nie zatracili śladu o który tak mi chodziło.

W chwili kiedy o tem wszystkiem mówimy, starzy strzelcy musieli już kawał ubić drogi, już przeszło bo godzinę jak się rozłączyli z resztą towarzyszy zmuszonych z powodu moich fantastycznych zwrotów zatrzymywać się kilka razy i namyślać w którą udać się stronę.

Ale dzięki przynajmniej Bogu iż nie jechali tak jak ja nic dokoła nie widząc, byli więc w możności zapamiętać drogę do powrotu, ponieważ bowiem nie można było przewidzieć w którą się stronę Rube z Gareyem udali, wypadło na step powrócić. Takeśmy też uczynili zdawszy się pod przewodnictwo Stanfielda, człowieka obeznanego dokładnie z lasem.

Kierując się własnemi poprzedniemi śladami, Stanfield wkrótce wyprowadził nas z lasu.

Nie zatrzymywaliśmy się wyjechawszy na białą łąkę, ale śpiesznie znowuśmy się w las zapuścili za śladem Ruba i Gareya, z tej jednak strony nie mieliśmy żadnej trudnośc

bo droga jasna była, jak na dłoni wytknięta, jak się wyrazili towarzysze moi.

I rzeczywiście znaki trzech koni wskazywały drogę dostatecznie chociaż w miejscach kamienistych a nawet na trawie w miejscach suchych wypalonych od słońca, kopyta końskie nie pozostawiały widocznych znaków.

d. c. n.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Teatrzyki ogródkowe.

ALHAMBRA.

I.

Od początku czerwca mamy teatrzyki ogródkowe w Eldorado, Alhambrze i Tivoli, w których współzawodniczą z sobą o lepsze trupy pp. Texla, Trapszy i Grabińskiego. Przedstawienia sceniczne idą żwawo, a publiczność, wnosząc z tłumów napływających w te miejsca, szuka w nich zapewne wrażeń estetycznych, nie zapominając przytem o zasilaniu się w bufetach przeróżnemi przekąskami i pienistym bawarem. Krzepiąc ducha w eterach sztuki wzmacnia jego cielesną powłokę miejscową ambrozyją i nektarem. W każdym razie główną areną akcyi jest tu sztuka dramatyczna, nie zaś kulinarna, bufet nawet dla najprozaiczniejszych warstw publiczności, bądź co bądź zajmuje podrzędne miejsce.

Rozpatrzmy się na dziś w Alhambrze, przedstawiającej się od pierwszego rzutu oka bardzo pokaźnie. W rzeczy samej urządzenie tego teatrzyku, pod wszelkiemi względami wzorowe; miejsca dość, krzesła wygodne, światła nie brak, komfort wszędzie. Trupa artystyczna pana Trapszy przedstawia się wcale nieźle. W operach *buffo* pani *Siennicka* jest doskonałą — posiadając głos nie zbyt szerokiej skali artystka włada nim umiejętnie, a postawą, ruchem, akcyją dowodzi niemałego obznajomienia się ze sceną. W rolach pięknych Helen i Bulotek, p. Siennicka nie *szokuje*, poprzestając na niewiele znaczącem akcentowaniu jaskrawszych ruchów i unika szarży w której się tak rozmiłował Offenbach, zbiera też zasłużone oklaski. Pani *Sochaczewska* przypomina nam w komedyjach potrosze Palińską, śpiewnością dykcyi, radzilibyśmy jednak artystce pozbyć się sentymentalności, która niezawsze jest pożądaną i przejść może w manierę, co byłoby szkodą gdyż p. Sochaczewska ma talent rzeczywisty który możnaby zużytkować. W personelu męzkim wypada nam pierwszeństwo przyznać p. *Morozowiczowi*. Artysta to inteligentny i zdolny, widzieliśmy go w kilku rolach charakterystycznych, w których był nieporównanym. PP. *Sochaczewski*, *Siennicki* i *Szymborski* wywiązują się często ze swych zadań wybornie. P. *Bystrzyński* czyni widoczne postępy. Dyrektor trupy teatralnej w Alhambrze nie zrywając z Offenbachem, występuje z nim przecież nie tak często jak p. Texel, i za to jesteśmy mu wdzięczni; z drugiej znów strony przyznać potrzeba, że publiczność nasza, bądź co bądź rozmiłowała się wyraźnie w takich operetkach, jak *Piękna Helena*, *Sinobrody*, *Lekka Kawaleryja* i tłumniej nierównie na podobne przedstawienia napływa, niż na utwory sceniczne poważniejszego pokroju. W takim stanie rzeczy dla zapełnienia kasy, dyrektorowie teatrzyków ogródkowych darzą ją najczęściej płodami mistrza kankanowego. Smutny to objaw, wskazujący nam najwidoczniej jak szybko dążymy do upadku moralnego. Należało by stawić koniecznie czoło temu prądowi, który w sobie mieści elementy zepsucia i rozkładu. Niechby sobie Offenbach figurował raz na tydzień w afiszu, jeżeli z nim już nie sposób się rozstać zupełnie, a natomiast wypadałoby szerzej zapoznawać publiczność z utworami dramatycznemi głębszej treści. Czyż Fredro i Korzeniowski już są dla nas przestarzali? Czy repertoarowi teatralnemu zbywa na dobrych komedyjach tłumaczonych? Dla czego w ogródkach dawać taki przedpotopowy dramat jak *Trzydzieści lat życia szulera*, pisany ongi, gdy publiczność nasza była w pieluchach — i inne miała warunki bytu? Zaznaczając to, nie myślimy w tej mierze stawiać p. Trapszy zarzutu, gdyż nieraz dowiódł on jak poważnie zapatruje się na sztukę, jak łamiąc się z trudnościami swego zadania stara się o dobry wybór. Częściej też spotkać się można w Alhambrze z utworami szerszej myśli, niż w Eldorado. Pan Trapszo urozmaica przedstawienia, zapoznał nas już z *Nerwowemi* p. Sardou i z *Synem marnotrawnym* p. Sygietyńskiego. Pozostawiając tę ostatnią sztukę niżej umieszczonej oddzielnej ocenie, jako komedyją oryginalną, potrącić nam wypada o *Nerwowych*. Sardou w przystępie dobrego humoru napisał tę farsę, w której przez trzy akty utrzymywaną jest *szarża* bez przerwy i wytchnienia. Przedmiot był bogaty, można było z tego materyjału stworzyć arcydzieło, co przyszłoby nietrudno autorowi, który jednak poprzestał na zlepieniu bawidełka, cacka — nic więcej. Nie szukać tam prawdy psychologicznej, typowych charakterów, głębszej myśli — ale natomiast dowcip skrzy się w jednym fajerwerku, sceny są pomyślane zręcznie, sytuacyje przedziwne iście komiczne. Krytykujesz sztukę, lecz pomimo to śmiejesz się do łez, jak mówią francuzi. Sardou nie pozwala ci na chwilę rozpatrzeć się uważniej, gdyż łaskocze cię ciągle i przyprowadza nie tylko aktorów na scenie ale i publiczność do śmiechu w istocie nerwowego. O sztuce samej nie ma co mówić — o grze artystów w Alhambrze to tylko, że wszyscy wywiązali się z ról swych wybornie. Pan *Morozowicz* przedstawiający Tyburcyjusza gapiowatego konkurenta poszukującego posagu, pozyskałby oklaski i na scenie teatru warszawskiego. Pan *Siennicki* z prawdziwym talentem przedstawił p. *Marteau* człowieka, któremu najmniejsza drobnostka rozstraja niesłychanie nerwy. Zresztą pomimo wszelkich zarzutów, jakie stawiać można sztuce, atmosfera jej zdrowa — nie ma w niej zgnilizny ani śladu. Radzimy panu Trapszy powtórzyć farsę, odznaczającą się żywą akcyją i wielce dowcipnym dyjalogiem.

Semper.

II.

P. Trapszo wystawił oryginalną nowość, utwór znanego z kilku drobnych prac autora p. *Sygietyńskiego*. Są to dzieje „Syna Marnotrawnego.“ Podług kodeksu, którego trzymają się krytycy teatralni, rozpocząć należy od przedstawienia treści sztuki i typów charakterystycznych.

Główną postacią jest, jak sam tytuł wykazuje, syn marnotrawny, zamożny paniczyk, dziedzic włości, niezły z gruntu chłopczyna, ale nieznośny przytem szałaputa, letkiewicz, nie dbający o jutro. Nic więc dziwnego, że w rękach takiego człowieka jak lód topnieje szybko fortuna ojcowska. Nad przepaścią ruiny *jaśnie pana*, błyszczy jeszcze sztuczny blask dostatków i bogactwa. Lecz u chudniejącej sakiewki wiszą nieznośne pijawki semickiego pochodzenia i oderwać ich niepodobna. Nareszcie wybija ostateczna godzina: syn marnotrawny zostaje bez chleba, w nędzy i niedostatku wraz z ojcem, żoną i kilkorgiem drobnych dzieci. Tu to zaczyna się cała machinacyja nagłego zjawienia się aniołów opiekuńczych. Lecz część tę ulepsza, niezbyt psychologicznie zresztą przeprowadzany w szczegółach, proces duchowego odrodzenia zepsutego młodzieńca. Odrodzenie to w samej rzeczy było możebnem, gdyż w pierwszej jeszcze części utworu jasno uwydatnił autor — szlachetne w gruncie serce letkiewicza. W pojedynczych jednakże fazach tego odrodzenia zbyt wielki wpływ przypisuje autor doraźnym przemówieniom moralnym.

Żona głównego bohatera, tkliwa czuła Helena jest jedną z owej czeredy znanych typów dodatnich, owych cichych poświęcających się ziemskich aniołów, których całemi kopami w piśmiennictwie naszem napotkać można. Pieśń uczuć, gorejących w jej duszy, brzmi na stare... wielokrotnie przetrawestowane już tempa.

Postać starego Prawdzica jest dosyć bezbarwną i pozbawioną werwy. Lecz wina to w części artysty, który grał tę rolę. Pan *Nawarski*, aczkolwiek znakomicie się ucharakteryzował i w kilku miejscach wykazywał spore zasoby talentu, w ogóle jednakże sprowadził tę postać na stopień zwykłej sprężyny akcyi, nie nadając jej wybitnego samoistnego bytu, co jak zdaje się było życzeniem autora.

Najudatniej skreślonym typem jest uczciwy żyd Jankiel. Pomnąc na to, że całe mienie swe zawdzięcza szlachetnej pomocy, jaką udzielił mu w nieszczęściu stary Prawdzic, ocala od zguby syna swego dobroczyńcy. Jestto wprawdzie jedna z owych niezbędnych podług starej manijery sprężyn akcyi, jeden z owych aniołów opiekuńczych, którzy czuwają nad bohaterami utworu, i szlachetną swą interwencyją sprowadzają moralne bardzo zakończenie. Jednakże postać to bardzo charakterystyczna, barwna i jednolita. Jest ona rzeczywiście jedyną prawie ozdobą całego utworu. Szlachetna postać uczciwego Zdzisia stanowi barwny dosyć i ciekawy typ, jaki niestety.... rzadko już dziś napotkać można.

O innych postaciach nie ma co i wspominać. Są to pospolite, bezbarwne często sprężynki niezbędne dla przeprowadzenia głównej akcyi, która ciągnie się leniwo, jednostajnie i bez interesu. Nie znajdziesz tu ani zręcznej intrygi, ani silnej dramatyczności pojedyń-

czych obrazów (z wyjątkiem jednej udatnie bardzo skreślonej sceny zjawienia się Zdzisia). Sprężyny akcyi zbyt już zużyte. Stara manijera nagłego zjawienia się jak *„deus ex machina“* opiekuńczych aniołów, stanowi główną machinacyją utworu. Wogóle, komedyja p. S. przypomina nam owe dzieje piśmienniczej muzy, kiedy to drugorzędni twórcy składali tkliwy hołd u stóp bogini cnoty i poświęcenia, nie troszcząc się bynajmniej o zasadnicze warunki twórczości scenicznej, o udatną i barwną charakterystykę postaci, o prawdę psychologiczną, o werwę i życie, lejące się ożywczym strumieniem z potężnej i dramatycznej akcyi. Widzimy tu wiele dawno znanych, niekiedy przestarzałych nieco postaci. Najgłówniejszą wadę Syna Marnotrawnego stanowi zbytnia deklamacyjność. Za wiele słów! — za wiele morałów! — za mało akcyi!...

Jeszcze jedno... ostatnie słówko, charakteryzujące dosadnie budowę utworu.

— Zapewne już koniec! — rzekłem po 4-ym akcie do sąsiada mego, a kolegi po piórze.

— Gdzież tam! — jeszcze jeden akt.

— To chyba ujrzymy dzieje... po 6-ciu latach.

— Ha! — jeżeli taka wola autora, słuchajmy!... W każdym razie lepiejby było, gdyby sam słuchacz w swej duszy dośpiewał reszty. Satis!...

A teraz słówko o grze artystów.

P. *Bystrzyński* z werwą i umiejętnością oddał rolę głównego bohatera. Uczuciowe tylko sceny słabiej się nieco przedstawiały. W głosie artysty znać było pewien nienaturalny wysiłek. Całość jednakże wyszła nadspodziewanie dobrze.

P. *Sochaczewska* grzeszy, jak zwykle, zbyt jednostajną sentymentalnością. Posiada wiele przymiotów, ważnych nader dla artystki, grającej role dramatyczne: głos giętki, dźwięczny, należycie uwydatniający silne uczucia serca i poruszający niekiedy do głębi duszy słuchaczów. Należy tylko postarać się o należyte cieniowanie gry dotychczas zbyt jednostajnej.

P. *Trapszo* wywiązał się ze swego zadania, jak prawdziwy artysta. W całej grze widocznem było głębokie zrozumienie roli i sumienne wystudyjowanie szczegółów. Kilka tylko pomniejszych zauważyliśmy nierówności. Dziwnie dysharmonijną np. poruszył nutę szan. Dyrektor w chwili rachowania pieniędzy należnych za wełnę. Zdawało nam się, że nagle zacny Jankiel przemienił się w przebiegłego oszusta...

Odznaczyli się też umiejętną grą pp. *Jejde*, *Szymborski* i *Bojemski*.

A. Pilecki.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Historyja o Janaszu Korczaku i o pięknej Miecznikównie—powieść z czasów Jana Sobieskiego przez J. I. Kraszewskiego. Dwa tomy w jednym. Warszawa. Nakładem Michała Glücksberga 1875 r. str. 376 in 8-o.

(dokończenie).

Przyzwyczajona w czasie częstej nieobecności męża rządzić samowładnie w mężowskiej zagrodzie miecznikowa wyrobiła w sobie hart i energiję niepospolitą. Z pod rodzinnej strzechy wyniosła ona skarb uczuć serdecznych: duszę czułą i szlachetną, dobroć anielską. Lecz czuła ta niewiasta, umiała stawić harde czoło największemu niebezpieczeństwu. Nie zwracając uwagi na wielokrotne ostrzeżenia; udaje się ze szczupłą załogą do pogranicznego zamku pod nieubłagane strzały tatarskiej hordy. W chwili napadu rozjuszonej dziczy nie traci odwagi, porywa się nawet wraz z córką do broni i walczy na równi z innymi bohaterami krwawego boju. Niebezpieczeństwo śmierci lub gorszej jeszcze niewoli nie zdołało złamać żelaznego ducha mężnej niewiasty. Do końca stoi mężnie na arenie walki nie tracąc odwagi i nadziei. Cudem prawie wydobywszy się z tak okropnego położenia, spotyka się z okropną wieścią o niewoli męża. Zdawałoby się, że pod tak silnym ciosem ugiąć się wreszcie musi. Lecz bynajmniej—ogrom boleści nie łamie rycerskiej energii. Zamiast zatonąć w łzach zwątpienia i rozpaczy, myśli raczej nad ocaleniem miecznika.

Obok idealnych barw tej postaci z nieporównaną prawdą artystyczną zacieniował autor pewne rzeczywiste rysy, uwydatniające się w życiu ówczesnego społeczeństwa. Miecznikowa kocha całą potęgą macierzyńskiej miłości jedyne dziecię swoje. Przywiązaną jest też serdecznie do poczciwego wychowanka. Lecz hołdując przesądom ówczesnym, ze strachem spogląda na serdeczniejsze objawy uczucia dwojga młodych ludzi, pragnąc je zagłuszyć w samym zawiązku. Nie waha się nawet użyć do tego środków, rozdzierających serca kochanków. Natomiast z nieukrytą radością skłania się na stronę eleganckiego dworaka, wychowanego nieco podług francuskiej maniery. Taki duch panował naówczas w wyższych sferach społeczeństwa. Słusznie też autor uwydatnił go w miecznikowej.

Nieodrodną córą mężnej niewiasty jest jedyne jej dziecię—Jadzia. Prawdziwe to dziewczę staropolskie: jak kwiat nadobne, hoże i wesołe, czułe i serdeczne. W dziewiczej duszy również bohaterskie żyje męstwo. Skoro raz zdobyłeś takie serduszko, mogłeś być pewien, że ci do grobu dochowa wierności. Ulegając surowej woli rodziców, nie poślubi cię bez ich zezwolenia. Lecz zagrzebie raczej uroczą wiosnę życia w mroku murów klasztornych, niż odda się bez miłości innemu. Z zakrwawioną piersią, z zamarłą na ustach wesołą pieśnią młodości, jak blada mara, bez skargi przejdzie przez życie, lub blizką powita mogiłę. Ostatniem wspomnieniem dni ubiegłych będzie myśl o tobie. Jeżeli umrzesz, na mogile twej własną dłonią postawi krzyż czarny, zasadzi kwiaty i długie modlitwy nadgrobne ulatać będą za duchem twym do krainy wieczności. Żadna burza życia nie wyrwie jej z piersi tego uczucia, które uroczym w wiośnie życia zaświeciło blaskiem.

Z nieporównaną znajomością duszy ludzkiej z serdecznem prawdziwie ciepłem skreślił autor dzieje młodzieńczej miłości Janasza z piękną miecznikówną. Śledząc mozolny rozwój jego z dziecinnej i braterskiej przyjaźni, aż do wybuchu niczem nieugaszonego ognia najczystszej miłości, kreśli nam autor cudną pieśń z niebiańskich złożoną melodyj. A każdy ton jej tak serdeczny i wzniosły, że mimowoli porywa duszę i przykuwa serce.

Jadzia nigdy nie sprzeciwiłaby się woli rodziców. Pragnie tylko aby ukochany wiecznie przy niej przebywał. Rozłączenie ugodziłoby ją ciosem zabójczym. W duszy jej świeci blade światełko nadziei. „Czekać potrafię mówi do Janasza“ —„Słuchaj a ty czekać potrafisz? Powinieneś umieć czekać, być milczącym i cierpliwym!“

Ugodzona zabójczą wieścią o śmierci kochanka zamarła dla świata—jak blada chodzi mara. W duszy jej dzwoni jedna tylko pieśń wspomnienia. Jak kwiat na pustyni schyliłaby wnet młode czoło w zimne objęcia grobu, gdyby jasna jutrznia szczęścia nie powołała jej na nowo do życia.

Z innych postaci kobiecych zasługuje na uwagę bierna ofiara krwawej niedoli — przygnieciona smutnym losem i obłąkana nadmiarem boleści—nieszczęśliwa żona Dorszaka.

Dzieje tych wszystkich postaci łączą się węzłem zręcznie ułożonych sytuacyj, z których niektóre tylko grzeszą anachronizmem i jednostajnością (kilkakrotne podsłuchiwanie, niespodziewane spotkania jakby ręką Opatrzności zrządzone). Drobną tę jednak usterkę wynagradza sowicie nieporównane mistrzowstwo w kreśleniu pojedyńczych obrazów, szybka, wysoce dramatyczna i zaciekawiająca ciągle akcyja.

Opowiadania historyczne, zebrane dla młodych czytelników przez Jana Chęcińskiego. Wydanie drugie z 10 drzeworytami. Warszawa nakład Gebethnera i Wolffa, 1875 r. str. 265 in 8-o, cena rs. 1 kop. 20.

W piśmiennictwie, przeznaczonem dla młodocianego wieku, pojawiają się od pewnego czasu różnorodne zbiorowe bijografije i szkice, przedstawiające w obrazowym opisie żywoty najznakomitszych mężów przeszłości i wiekopomne wypadki dziejowe. Celem ich jest przygotowanie młodocianego umysłu do spożycia poważniejszej strawy naukowej. Gdybyśmy umysł dziecka wprowadzili odrazu w sferę suchych faktów, w dziedzinę systematycznie opracowanej historyi, zraziła by go z samego początku mozolna praca, i z chaosu tego nic by prawie wynieść nie zdołał. Należy wprzód ukazać młodocianej duszy zaczarowaną krainę przeszłości, odkryć najciekawsze jej karty, rozbudzić wyobraźnią dziecięcą i zamiłowanie do nauki, a później dopiero tak przygotowany już umysł wprowadzić w dziedzinę systematycznej wiedzy. Przedstawiwszy wybitniejsze ustępy historyi, które w zajmujących opowieściach najłatwiej przyswaja pamięć dziecięca, łatwiej już będzie dopełnić reszty wiadomości, powiązać z sobą znane epizody i w systematycznym ciągu przedstawić całe dzieje ludzkości.

W piśmiennictwie naszem, niestety, nie wiele dotąd dziełek takich napotykamy. Każdą też w tym rodzaju pracę z prawdziwą radością powitać należy, tembardziej, jeśli wyszła z pod pióra tak zdolnego pisarza, jakim był ś. p. Chęciński. W samej rzeczy, przejrzawszy pojedyńcze ustępy, których liczba dochodzi 40, widzimy tu w zajmujący nader sposób skreślone pojedyńcze epizody dziejów starożytnej

Grecyi i Rzymu, bijografije wszystkich znakotych mężów starożytności. Obrazy wielkich cnót i poświęcenia, którymi tak bogate są te dzieje, porywają i uszlachetniają duszę dziecięcą ujemne strony życia obudzają wstręt w niewinnem sercu.

Nie wdając się w szczegółowy rozbiór pojedyńczych ustępów zaznaczymy tylko, że są skreślone z prawdziwym artyzmem, jakim cechowaną jest każda praca zmarłego autora. Szczególniej podziwiać należy wielki obszar materyjału, ujęty w treściwe a wyczerpujące mimo to szkice. A wszystko tu przystępne jasne a niekiedy serdecznie do młodej duszy przemawiające. Słowem, książkę tę polecamy usilnie rodzicom i opiekunom kształcącej się młodzieży.

A. Pilecki

Książki powyższe nabyć można w księgarni A. Kowalskiego. Ulica Nowy Świat Nr. 39.

ROZMAITOŚCI.

Wdowa po Abrahamie Lincolnie została na zlecenie syna swego w obec sądu uznaną jako cierpiąca na umyśle i w skutek tego oddano ją w opiekę prywatnego domu zdrowia. Zeznania świadków wykazały, że wkrótce po zamordowaniu prezydenta Lincolna dały się dostrzedz w postępowaniu wdowy pewne ekscentryczności, które z postępem czasu bardziej niepokojące przybierały rozmiary. Cierpiącej wydaje się że jest wciąż otoczoną jakiemiś istotami i przytem pozostaje bez przerwy pod wpływem obawy otrucia. Stan ten więc podobnym jest do stanu nieszczęśliwej Karoliny byłej cesarzowej meksykańskiej. Przez pewien czas rodzina starała się ukrywać stan byłej prezydentowej, gdy jednak ta ostatnia przy zarządzaniu majątkiem swym wynoszącym 75,000 dol. postępowała nienormalnie, rodzina zmuszoną była, wdowę po Lincolnie sądownie uznać, jako nie mogąc rozporządzać znacznem mieniem.

* * *

Dziennikarstwo w Japonii w przeciągu stosunkowo krótkiego czasu wzrosło niepomiernie. W Japonii w ogóle wychodzi pism 34. Gazet tych r.1874 poczta japońska wysyłała egzemplarzy 2,564,000. Niektóre z tych pism mają znaczną liczbę czytelników. Na czele pism stoi bezwarunkowo organ rządowy: „Nichi-Nichi-Shimbun" którego biją egzemplarzy 977,642. Prócz tego pisma „Hochi Schimbun" bito r. z. egzemplarzy 758,280.

* * *

Amerykanin Marek Grayson zobowiązał się odbyć podróż na około świata i to piechotą, w ten sposób, że dziennie przemaszeruje 30 mil. angiel. Podróżnik ma lat 28, 5 stóp i 7 cali wyrokości, waży funtów 130. Wyruszył on z New-Yorku d. 3 b. m., do miasta tego, aby zakład wygrać, winien wrócić 23 listopada 1876 r. Na pokładzie okrętu, na którym dotychczas podróż odbywał, przechadzał się tak długo, aż ilość kroków jego wyniosła w ciągu dnia 30 mil. ang. Podróżnik dla dotrzymania zakładu winien przebyć 15,712 mil ang. lądem, i 12,935 wodą. Droga jego jest następującą: z New-Yorku do Liwerpolu, stąd do Hawru przez Chester, Sheffield do Londynu, z Hawru uda do Lyonu przez Francyją, następnie przez Genuę, Florencyją, Rzym i Neapol do Konstantynopola. Ztąd przez Bosfor uda się do Indyi. Z Indyi uda się do Canton, a następnie do Hongkong. Stąd uda się na wyspy Filipińskie do Nowej Gwinei, Australii, wysp Sandwichskich i San Francisco, aby stąd lądem stałym wrócić do New-Yorku.

* * *

W Paryżu toczyła się w tych dniach ciekawa sprawa przeciwko infantce hiszpańskiej Izabelli z Burbonów primo voto hr. Gurowskiej, secundo Perkins. Infantka wraz ze swoim teraźniejszym mężem obwinioną była o nadużycie dobrej wiary pani Meilhan, u której przez trzy lata w Paryżu mieszkała.

Rzecz toczyła się o 39,000 franków należnych za mieszkanie wraz ze stołem, lub pobranych od pani Meilhan gotówką pod niebardzo chwalebnemi pozorami. Królowa Izabella została poufnie zawiadomiona o tem, ale odmówiła zapłaty za swoją kuzynę. Sąd wydał wyrok zaoczny przeciwko pani Perkins.

* * *

Skutkiem starań obywatela gub. kowieńskiej p. Podbereskiego, towarzysz ministra dóbr państwa zezwolił na urządzenie coroczne wystawy zwierząt domowych w mieście powiatowem w Szawlach, gub. kowieńskiej.

Pierwsza wystawa ma się odbyć 1 i 2 września r. b. po ukończeniu robót w polu. Uczestniczyć w niej będą sąsiednie gubernije: kurlandzka, inflancka, estlandzka, wileńska i witebska. Wydział dóbr państwa przeznaczył na tę wystawę jeden medal złoty, jeden wielki srebrny, trzy małe srebrne i dwadzieścia blankietów listów pochwalnych.

* * *

Artyleryja angielska. Uzbrojenie Anglii stanowi 7,650 dział gwintowanych. Skład osobisty arsenału w Woolwich, w którem odlewają działa, wynosi około 1,600 robotników. Najdroższy z angielskich pocisków, a mianowicie kula Pallizera do dział wielkiego kalibru, kosztuje 190 franków. Także pełna kula kosztuje 179 franków 80 centimów, granat—połowę tej sumy; działa angielskie gwintowane, nabijane z tyłu, kosztują w ogólnej sumie do 40 milijonów franków. Niektóre z tych dział niosą na bardzo znaczną odległość. Sztuka giserska doprowadzoną jest w Anglii do takiej doskonałości, że działa dziewięcio calowe 12 tonn ważące biją na 9,070 metrów a kule przebijają blachy żelazne na 20 centimetrów grubości.

* * *

Gazety zagraniczne donoszą, że powzięto plan tunelu podwodnego pomiędzy Hiszpaniją i Afryką, który projektują przekopać w cieśnie Gibraltarskiej. Przedsięwzięcie to będzie trudniejsze, aniżeli przekopanie tunelu w La Manche. Jeśli z jednej strony, cieśnina Gibraltarska ma szerokości nie więcej jak 14 kilometrów, z drugiej strony głębia wód w niej przenosi 800 metrów; galerje czyli rowy przed wejściem do tunelu Gibraltarskiego muszą mieć przynajmniej 5 kilometrów długości, przy silnym spadku. Osoby zajęte tym projektem spodziewają się, iż urzeczywistnienie takowego, przy teraźniejszym stanie sztuki inżenijerskiej, nie przechodzi granic możności. Podług ich zdania, za punkt wyjścia należy wziąść miejscowość w pobliżu Algesiras na brzegu hiszpańskim, a budowla ma być doprowadzoną do Tangeru i Ceutu, na brzegu afrykańskim.

OGŁOSZENIA.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Karolowi. Wiersz „Pomocy" aczkolwiek odznacza się piękną myślą i zgrabnem dosyć wierszowaniem, brak mu jednak prawdziwej siły poetycznej i dla tego drukowanym być nie może. „Cudne loki" są jeszcze słabszym utworem. Wierszyk „Kazimierzowi Promykowi" chociaż równie nieudatny, jednakże ze względu na treść umieścimy go w felijetonie przyszłego N-ru.

Panu czy Pani Czaszcze. Udatny wierszyk szanow. autora czy autorki z przyczyn niezależnych od Redakcyi nie mógł być umieszczony.

Autorom i autorkom wierszy, „Ostatni pocałunek", „Teraźniejszość i przyszłość" „Dnia 10 Marca" „Z Hejnego" Utwory powyższe w piśmie naszem drukowane nie będą.

Дозволено Цензурою. Варшава 10 (22) Іюня 1875 г.- W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.